egzemplarz okazowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

● DUSZE Z POGRANICZA ● O ŻONIE WAŁĘSY ● O LECHU WAŁĘSIE
● CHŁOPSKIE STRAJKI ● CHORY SZPITAL ● AMBARAS W DEBLINIE
● SENSACYJNE ODKRYCIE W ARCHIWACH PCK ●

TYGODNIK WSCHODNI

relacje

LUBLIN, 13 - 19 IV 1989 R. NR 13 CENA 70 ZŁ

NICZYJE DUSZE Z POGRANICZA

Mirosław Haponiuk

CHCIELIŚCIE, aby o was wiedziano. Mówiliście, że jest to potrzebne wam i tym, pośród których żyjecie. I wbrew temu, co często mówiliście.

Są z Białostocczyzny. Wszyscy mieszkają poza nią — w Lublinie lub Warszawie. Oprócz miejsca urodzenia łączy ich brak poczucia przynależności do jakiegokolwiek narodu. Kiedy w jakimś kwestionariuszu trzeba wypełnić rubrykę „narodowość", przeżywają rozterki: „Co napisać?". I piszą: raz „białoruska", raz „polska". Zawsze bez przekonania. Zawsze z poczuciem jakiegoś przymusu, z doznaniem obcości wobec świata ułożonego w narody.

Każdy przyjeżdżający na Białostocczyznę musi zetknąć się z jej narodową i kulturową różnorodnością. Usłyszy jakiś „ruski" język, ale i polszczyznę miękką, inaczej akcentowaną, z charakterystyczną, jak to się nieraz określa: „śledzikującą", intonacją. Jeżeli będzie miał trochę szczęścia, zobaczy prawdziwego Tatara, a jeśli pojedzie dalej, na północ, w okolicach Sejn spotka Litwinów i usłyszy język litewski. Trafi do jedynego w Polsce zakątka, gdzie ocalały kresy w stanie nie naruszonym, nie wywróconym na opak przez historyczne awantury, bratobójcze walki czy też arbitralne decyzje. Znajdzie się w miejscu, gdzie w swoim naturalnym odwiecznym środowisku współżyją różne narody, różne kultury, różne religie. Tutaj nie są one jedynie czyimś wspomnieniem, czyjąś tęsknotą, jakimś rajem utraconym, ale polską, współczesną rzeczywistością. Rzecz dotyczy ludzi, którzy urodzili się na tym kresowym skrawku Polski i znaleźli się w pół drogi między Białorusią a Polską i nie mogą, a często także nie chcą, zdecydować się na żadną z narodowych tradycji i na żadną z narodowych teraźniejszości.

„Kiedy pytają mnie o narodowość Polacy — mówi mi Mikołaj — to odpowiadam im, że jestem Białorusinem. Kiedy pytają Białorusini, twierdzę, że jestem Polakiem. Nie czuję się jednak ani jednym, ani drugim".

Ktoś obcy, nie bardzo wtajemniczony w osobliwości kresowego życia, a ponadto nazbyt skłonny do klasyfikowania, gdy usłyszy, jak tutejsi ludzie mówią, i zobaczy ich wychodzących z cerkwi, wyjaśnia rzecz prosto: są to prawosławni Białorusini. To prawda, że czują się związani z prawosławiem. Nawet wówczas, gdy nie są religijni, coś ich łączy ze wschodnim chrześcijaństwem — z wiarą ich ojców i dziadów. Wątpliwości wzbudza dopiero domniemana przez przygodnego przybysza białoruskość i to pomimo tego, że zgodni są co do ich białoruskości nie tylko „prawdziwi Polacy", ale i „prawdziwi Białorusini", twierdzący z wyrzutem, że to ich spolonizowani współplemieńcy. Często dodają także, że ta polonizacja ich współziomków jest pochodną różnych działań administracyjnych.

To prawda, że niejednokrotnie utrudniano dzieciom dostęp do białoruskiego słowa. Ale pamiętać trzeba również o tym, że nawet tam, gdzie istniała możliwość uczenia białoruskiego w szkołach, rodzice często z tej możliwości nie korzystali. Nie da się tych decyzji tłumaczyć wyłącznie konformizmem, gdyż są one wynikiem dosyć powszechnego odczucia, szczególnie na południu województwa białostockiego, że język białoruski jest językiem obcym.

„Jaki tam ze mnie Białorusin — mówi Andrzej. — Nie umiem po białorusku czytać i mówić. Nawet mój pradziadek, który prawie zupełnie nie mówił po polsku, nie czuł się Białorusinem. O jakiej polonizacji tu mowa? Tak, po »swojemu«, po »chachłacku« umiem mówić. Ale to przecież nie jest białoruski! Nie czuję się także Polakiem, chociaż polskie dzieci w polskiej szkole uczę języka polskiego i to, jak sądzę, nie najgorzej".

Spotykam również ludzi, którzy władają językiem białoruskim, absolwentów liceum białoruskiego z Hajnówki czy Bielska, którzy nie czują się Białorusinami, gdyż mowa ich rodziców jest odległa od literackiej białoruszczyzny.

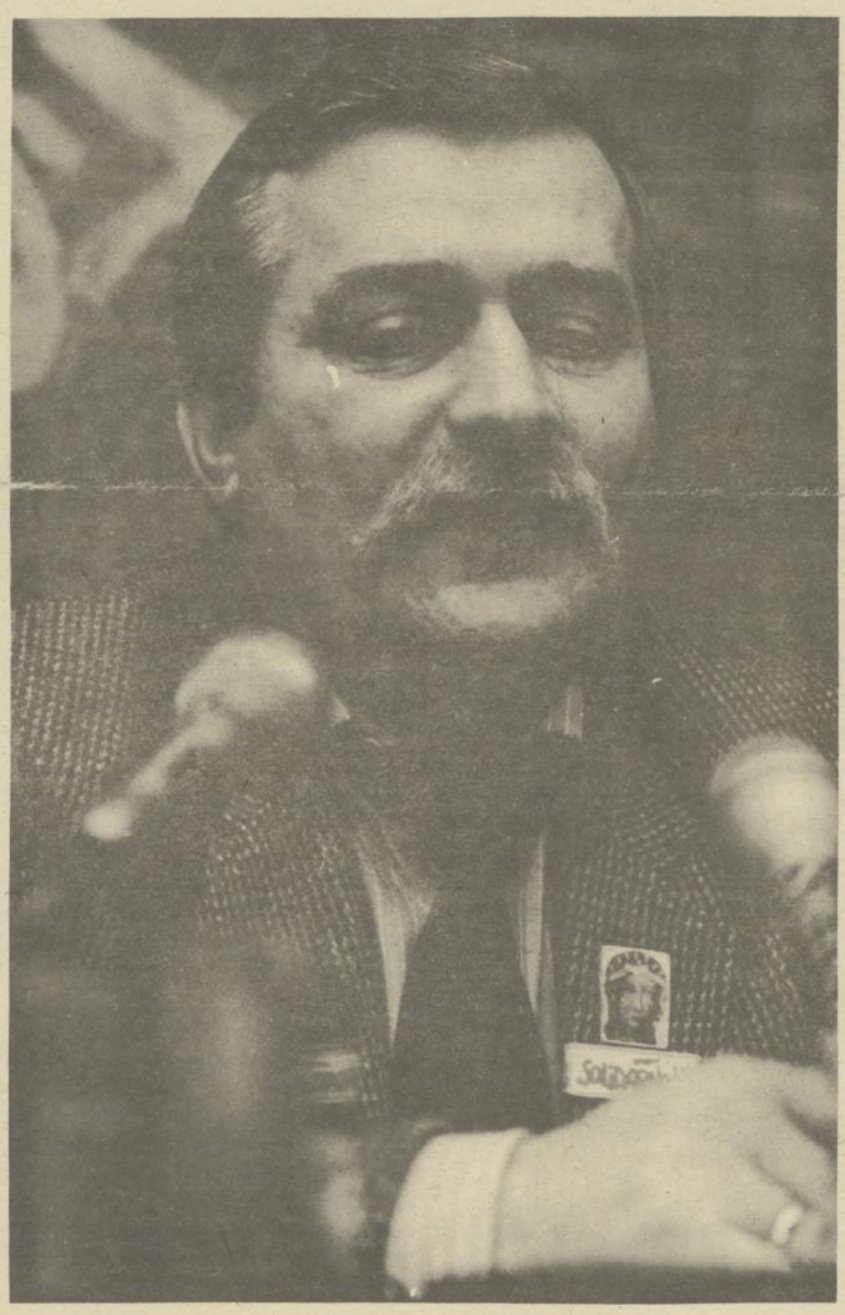

Wywiad z Lechem Wałęsą — str. 9.

Fot. Tadeusz Wyszyński

JESZCZE dziadowie na pytanie o narodowość odpowiadali, że są „tutejsi" albo „ruscy". Lub inaczej — „prawosławni". Być może przemądrzały ankieter przedwojennego spisu ludności tłumaczył im z poczuciem swojej narodowej przewagi, że nie ma narodu „tutejszego": albo są Białorusinami, albo Ukraińcami, albo Polakami. Wyjaśniał, że nie pyta o wyznanie, tylko o narodowość. Niepotrzebnie gadał. Oni rozumieli pytanie, ale jak odpowiedzieć, gdy nie jest się Polakiem i wobec katolickiej polskości czuje się jeśli nawet nie wrogość, to na pewno obcość. I nie tylko polskość była obca, ale także bliższe — choćby przez swoją wschodnią religijność — Białoruś i Ukraina były takie; jakieś nietutejsze.

Jak odpowiedzieć, nawet wtedy, gdy się rozumie pytanie? Być może mówili zrezygnowani: „Piszy pan szo choczesz". Już w lepszej sytuacji byli Łemkowie, narażeni na podobne rozterki. Mieli swój termin „Rusnak", albo mo-

Dokończenie na str. 6—7

relacje ZE ŚWIATA

✦ W STOLICY GRUZJI, Tbilisi, miały miejsce kilkudniowe demonstracje i zamieszki uliczne. Podczas jednego z wieców rozlegały się wezwania do likwidacji władzy radzieckiej w Gruzji, do stworzenia tymczasowego rządu republiki i odłączenia jej od ZSRR. Jak podaje agencja TASS, przywódcy tzw. narodowowyzwoleńczego ruchu Gruzji zaczęli ogłaszać plany przejęcia władzy, z tłumu rozlegały się groźby rozprawienia się z komunistami — przedstawicielami władz. Interweniowały oddziały MSW i wojska, przeciw którym wystąpili ekstremiści uzbrojeni w pałki i metalowe przedmioty.

Śmierć poniosło 16 osób, a kilkadziesiąt innych odniosło rany.

✦ JEŚLI ZSRR złagodzi swą kontrolę nad Europą Wschodnią, to Stany Zjednoczone i pozostające w sojuszu z nim państwa nie wykorzystają zmieniającej się sytuacji w bloku wschodnim w sposób, który mógłby zaszkodzić interesom Związku Radzieckiego — powiedział w wywiadzie dla „NY Timesa" sekretarz stanu USA, J. Baker.

✦ RFN wprowadziła nowe, mające niewątpliwie charakter represyjny, kryteria wizowe dla Polaków. Ubiegający się o stosowny stempel w paszporcie, od 15 kwietnia posiadać muszą 50 marek na każdy dzień pobytu oraz dokonać obowiązkowego ubezpieczenia.

✦ Z RUMUNII donoszą o uroczystościach zorganizowanych w 15 rocznicę objęcia urzędu prezydenta przez Nicolae Ceausescu. Autorzy licznych artykułów prasowych piszą o nim jako o „znakomitości współczesnego świata", „najukochańszym synu narodu rumuńskiego", „najwybitniejszym przywódcy w tysiącletniej historii".

✦ AGENCJA REUTERA poinformowała o represjach skierowanych przeciwko sześciu autorom listu protestacyjnego przesłanego do prezydenta N. Ceausescu.

✦ FRANCJA odwołała swojego ambasadora w Bukareszcie, motywując tę decyzję naruszaniem przez Rumunię praw człowieka.

✦ W RÓWNEM (Ukraina) na schodkach cerkwi, zamienionej w 1968 roku na muzeum ateizmu, pięć kobiet prowadziło strajk głodowy, domagając się przekazania świątyni wspólnocie prawosławnej.

✦ W CZECHOSŁOWACJI zgłaszane są postulaty przywrócenia wyborów władz uczelni. Zasada ta, wprowadzona ustawą z 1968 roku, później została uchylona.

✦ TEGOROCZNI NOBLIŚCI otrzymają nagrodę już w wysokości 3 milionów koron szwedzkich (blisko 500 tys. dolarów). Ubiegłoroczni zadowolić musieli się „tylko" 2,5 mln koron.

✦ ULEGAJĄC NACISKOM integrystów muzułmańskich, premier Pakistanu, pani Benazir Bhutto, wprowadziła zarządzenie zabraniające publicznego ściskania rąk kobietom pracującym w ministerstwach.

✦ DO WŁADZ CHIŃSKICH trafił epel organizacji politycznych i społecznych o ukrócenie procederu handlu kobietami. Chińczycy sprzedają córki, żony (nawet ciężarne) chłopom z południa kraju, a także funkcjonariuszom państwowym. Średnia cena — 4 tys. juanów (1800 dolarów).

✦ ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH nadeszła wiadomość, że zastrzelony został, jako mimowolny świadek napadu na bank, mieszkający od 20 lat w USA — kompozytor Jerzy Abratowski. Był on autorem przebojów, m. in. „Gdy mi ciebie zabraknie", „Szeptem", które śpiewała niezapomniana, tragicznie zmarła Ludmiła Jakubczak.

✦ JAPOŃSKA prywatna sieć telewizyjna TBS podpisała kontrakt z Rosjanami na wysłanie w kosmos jej dziennikarza. Wyprawa ma nastąpić w 1991 roku, a rachunek za dziennikarski wojaż wyniesie 1,6 mld jenów.

relacje Z KRAJU

✦ PO DZIEWIĘCIU TYGODNIACH NEGOCJACJI (dramatycznych w ostatniej fazie), ale i po długich latach wprowadzania stopniowych zmian politycznych i społecznych do naszego życia — 5 kwietnia podpisane zostało porozumienie wieńczące „okrągły stół". W dwa dni później pakiet propozycji, tworzących nowy kształt polskiej demokracji, przyjęty został przez Sejm. (Szczegóły przyniosła codzienna prasa).

W opiniach Wschodu i Zachodu obydwa te wydarzenia „mają historyczne znaczenie dla Polski, ważne są również dla Europy".

Natomiast w naszych, Polaków, ocenach — dokonywanych publicznie i w domowych zaciszach — dominuje satysfakcja płynąca z tego, że mimo podziałów i partykularyzmów zwyciężył interes narodu i państwa. Mamy też jednak świadomość, że do pełni szczęścia (gospodarczego, społecznego, politycznego) daleka jeszcze droga. Ale z tą szansą, którą otrzymaliśmy, jakby bliżej i łatwiej...

✦ ZAREJESTROWANA ZOSTAŁA — po 15 miesiącach starań — fundacja społeczna „Solidarność", założona przez Lecha Wałęsę. Fundusz (1 mln dolarów) w zasadniczej części utworzony został z dotacji Kongresu USA, przyznawanych dla podziemnej „Solidarności" w ubiegłych latach. Celem tej fundacji jest podejmowanie działań zmierzających do ochrony zdrowia ludzi pracy i ich rodzin.

✦ PO DWÓCH LATACH PRAC Komisji Wspólnej Przedstawicieli Rządu i Episkopatu parafowano projekt ustawy o stosunkach między państwem a Kościołem w Polsce. Wkrótce trafi ona do laski marszałkowskiej.

✦ OBRADOWAŁO Niezależne Forum Kultury, zorganizowane przez Komitet Obywatelski przy przewodniczącym NSZZ „Solidarność". Uczestniczyło w nim ok. 800 reprezentantów różnych dyscyplin naukowych i artystycznych. Głównym tematem obrad były zagrożenia w dziedzinie kultury. Uczestnicy dyskusji wskazali na konieczność budowania autonomicznych struktur życia kulturalnego w Polsce, zgodnie z postulatami i potrzebami tworzących je środowisk.

Forum to było największym zgromadzeniem niezależnych środowisk twórczych od 12 grudnia 1981 roku, daty zwołania Kongresu Kultury, przerwanego przez ogłoszenie stanu wojennego.

✦ POLSKI PEN-CLUB zwrócił się do prezydenta Czechosłowacji z prośbą o interwencję w sprawie zwolnienia z więzienia pisarza Vaclava Havela, skazanego za „działalność antysocjalistyczną i antypaństwową". Z podobnym listem wystąpił węgierski PEN-CLUB.

✦ PRZECIĘTNE WYNAGRODZENIE MIESIĘCZNE w 5 działach gospodarki uspołecznionej w lutym br. wynosiło 83,2 tys. zł i w porównaniu z lutym ub. roku było wyższe o 64,7 proc. Przeciętna emerytura i renta wynosiła 31,5 tys. zł.

✦ PODWYŻKĘ STYPENDIÓW STUDENCKICH o 3,5 tys. zł zapowiedział — po konsultacjach z Ministerstwem Finansów — minister edukacji narodowej. Decyzja obowiązywać będzie do lipca bieżącego roku, kiedy to ma nastąpić zmiana systemu stypendialnego.

✦ PIERWSZYCH FAŁSZERZY nowych, 20-tysięcznych banknotów wykryto w Szczecinie. Natomiast trwające przygotowania do druku banknotów 50-tysięcznych mają charakter legalny.

Czy jedno i drugie wiąże się z galopadą cen? Przypomnijmy: od 1 bm. drożej płacimy za energię elektryczną, gaz i bilety MPK, a od 2 bm. — za benzynę. Akurat te podwyżki ciągną za sobą następne...

✦ WSPARCIE — także dla Lublina — przyjdzie z Kuwejtu? Otóż Zrzeszenie Przemysłu Ciągnikowego „Ursus" rozpoczęło rozmowy z Izbą Przemysłową Kuwejtu co do utworzenia spółki. Kuwejcki kapitał, jak pisze tygodnik „Razem", jest ostatnią szansą dla naszego, bliskiego bankructwa przemysłu ciągnikowego.

✦ ZAWIĄZUJE SIĘ spółka do spraw telewizji kablowej. Mieszkańcy Warszawy i Krakowa (w pierwszym rzucie) do dyspozycji mogą mieć 12 kanałów pod warunkiem opłacenia rachunku „twardą" walutą. Ile? — tego jeszcze nie policzył amerykański przedsiębiorca, sam gotów do zainwestowania 80 mld dolarów.

✦ Z DANYCH opublikowanych przez GUS wynika, iż 40 proc. obywateli ani razu w ciągu roku nie sięga po książkę, a w 17 proc. domów nie ma w ogóle książek.

✦ JEDNOOSOBOWY STRAJK odbył się w Urzędzie Gminnym w Dolicach, w woj. szczecińskim. Zajmujący się sprawami komunikacji pracownik tego urzędu wywiesił na drzwiach tablicę z napisem „strajk" i zażądał 30-tysięcznej podwyżki.

✦ POLSKI ZWIĄZEK JĄKAJĄCYCH SIĘ zarejestrowano w Krakowie.

✦ JEDNA GODZINA TELEWIZYJNEGO FILMU, zrealizowanego w warunkach krajowych, kosztuje już 60—80 mln złotych. Za taki sam film zagraniczny płaci się ok. 1 tysiąca dolarów, czyli tylko 3 mln złotych, albo pewną sumkę w rublach. Niewykluczone więc, że coraz gęściej pojawiać się będą dzieła w rodzaju ostatniego nabytku TVP — czechosłowackiego serialu (10 odcinków!) „Synowie i córki Jakuba Szklarza". Brr...

relacje Z REGIONU

✦ PREMIER M. F. RAKOWSKI upatrzył sobie nasz region (niedawnym przykładem — Dęblin) do składania niezapowiedzianych, tzw. gospodarskich wizyt. Tym razem wybrał Zamojszczyznę. W Romanowie (gm. Izbica) odwiedził gospodarujących na 15 hektarach Hannę i Jana Piłatów, w Nieliszu wizytował Gminny Ośrodek Zdrowia, w Żółkiewce — bazę magazynowo-skupową miejscowej GS, urzędy w Turobinie i Gródku, natomiast w Zamościu zwiedził Starówkę i Ratusz. Premiera interesowały warunki życia i gospodarowania, także w kontekście niedawnych strajków rolników, powszechnych na Zamojszczyźnie.

Aczkolwiek z wizyt tych nic złego (dla władzy) nie wynikło, usiłuje się dociec, na kogo — teraz — wypadnie.

✦ POWSTAŁ Lubelski Związek Inwalidów Ruchu. Informująca nas o tym przewodnicząca Tymczasowego Zarządu, Anna Wróbel, dodała, że „poszukuje ludzi chętnych do przebijania muru głową". Ów metaforyczny mur to gąszcz kłopotów (rehabilitacyjnych, architektonicznych i niesionych przez codzienność), które napotykają inwalidzi. Pragnący im pomóc, jak i osoby zainteresowane wstąpieniem do związku, proszeni są o przybycie na spotkanie, które odbędzie się 17 kwietnia o godz. 17 w Klubie Inwalidy przy ul. Magnoliowej 2 (boczna al. Spółdzielczości Pracy, obok CPN).

✦ W MAJU 1990 roku uruchomiony zostanie pociąg pasażerski relacji Moskwa-Olkusz, przez Hrubieszów, Zamość i Biłgoraj. Pociąg ten kursować będzie po szerokim torze Linii Hutniczo-Siarkowej.

Natomiast po wąskim torze, już w czerwcu, wybrać się będzie można wynajętą „ciuchcią" na wycieczkę malowniczą trasą: Nałęczów — Wąwolnica — Poniatowa — Karczmiska — Wilków.

✦ MIESZKAŃCY KRAŚNIKA i okolic od 15 kwietnia będą mieli swoją giełdę samochodową. Na jej miejsce wybrano plac przy ul. Konopnickiej, w dzielnicy fabrycznej Kraśnika.

✦ LIGĘ BRUDASÓW prowadzi „Kurier Lubelski". Na liście sporządzonej przez popołudniówkę znalazły się liczne — w tym renomowane — przedsiębiorstwa, instytucje, placówki handlowe i usługowe, administracje państwowe, spółdzielcze i prywatne. Co charakterystyczne: po pokazaniu ich „palcem" porządek poprawia się. Niechlujom nie brakuje więc szczotki, proszku czy mydła, tylko zwykłego wstydu. A poczucie estetyki — to dla nich temat „uniwersytecki".

✦ DOLAR w lubelskim kantorze PKO — podobnie jak i w kraju — zdrożał. Kupowany był w ostatnich dniach za 3000 zł, a w sprzedaży kosztował 3200 zł. Bony dolarowe, odpowiednio 2750 i 3000 zł.

✦ TRUDNO nawet byłoby policzyć te gazety i wydawnictwa, które w ciągu niemal półwiecza pracy w drukarstwie przeszły przez ręce Tadeusza Budynkiewicza, zecera w LZGraf. Wiadomo tylko, że ostatnim tytułem były „Relacje", którym nie szczędził swego kunsztu, a i życzliwej krytyki. Przed paroma dniami pan Tadeusz, niemal prosto od swego „czarnego" warsztatu, zaproszony został przez dyrekcję i kolegów na pożegnalne spotkanie, jako że nadszedł czas zasłużonej — i nic w tym słowie z kurtuazji — emerytury. T. Budynkiewicz nie rozstaje się całkowicie z drukarnią. Swoją wiedzą postanowił dzielić się z uczniami lubelskiego Liceum Poligraficznego. Życzymy wychowania mistrzów na Pańską miarę!

Oprac.: **Zbigniew Miazga**

LUBELSKA „BIAŁA PLAMA"

W związku z naszą propozycją dotyczącą wmurowania tablicy pamiątkowej na Zamku, poświęconej pamięci osób tu pomordowanych i więzionych w latach 1944—54, otrzymaliśmy następujący list:

„[...] Proponujemy, by fakt ten upamiętnić w formie tablicy pamiątkowej umieszczonej na ścianie frontowej Zamku Lubelskiego (obok istniejących już tablic), który w latach 1944—54 pełnił funkcję więzienia i miejsca straceń wielu bojowników o wolność z okresu II wojny światowej. Od wielu lat problem ten postulowany był m. in. przez zwiedzających z całego kraju, którzy we wspomnianym okresie byli więzieni w tym gmachu.

Jesteśmy zdania, że całe przedsięwzięcie winien pilotować Wojewódzki Komitet Ochrony Pamięci Narodowej, organizacja najbardziej kompetentna w tym względzie w naszym województwie, która zaproponuje treść, formę plastyczną tablicy oraz rodzaj i charakter uroczystego jej odsłonięcia.

Zdajemy sobie sprawę, że każda forma upamiętnienia wiąże się ze sporymi kosztami. Wierzymy jednak w spontaniczną pomoc społeczeństwa, organizacji społeczno-politycznych, zakładów pracy oraz urzędów administracji państwowej. Dużą pomoc w upowszechnianiu tego przedsięwzięcia może udzielić lubelska prasa, a szczególnie tygodnik „Relacje", który jako pierwszy w naszym mieście na swych łamach poruszył problem „białej plamy" na Zamku Lubelskim.

Przy dużym zaangażowaniu wszystkich, wmurowanie tablicy może nastąpić w przededniu Święta Odrodzenia Polski, co stanowić może, i zapewne będzie, symbol odradzania się prawdy w naszej współczesnej historii regionu i kraju".

Alfred Gauda
Dyrektor Muzeum Lubelskiego

SPROSTOWANIE

W zapisie dyskusji „Bierut: mąż stanu, agent czy wykonawca?" („Relacje" nr 12) nastąpiło z winy redakcji przekłamanie w wypowiedzi Tadeusza Radzika na str. 14. Stosowny fragment (druga wypowiedź doc. T. Radzika na str. 14) winien brzmieć: „Dlatego, że Stalinowi niepotrzebne były osobowości, potrzebował jedynie posłusznych wykonawców". Słowo „sługusów" dodane zostało przez dziennikarza. Przepraszamy za to docenta Tadeusza Radzika i Czytelników.

Redakcja

OD MYSZY DO CESARZA KAŻDY ŻYJE Z GOSPODARZA

CHŁOP POTĘGĄ... BYŁ

Henryk Pająk

NA wsi zawrzało. Rolnicy zwracają sołtysom kwity podatkowe. Wstrzymują dostawy mleka, żywca. Są przypadki podpaleń stodół u tych, którzy wyłamują się z bojkotu. Tak było np. w Tarnogórze w województwie zamojskim. W okolicach Kraśnika pojawiają się na mleczarniach napisy grożące podpaleniami tym, którzy będą dostarczać mleko pomimo ostrzeżeń. Wsie Marianówka i Obroki w gminie Wilkołaz wysłały zbiorowy protest do premiera M. Rakowskiego. Protestują przeciwko drastycznej podwyżce podatków oraz składek emerytalnych i ubezpieczeniowych ZUS i PZU rolnicy z ponad 30 województw.

Petycji słanych do władz najwyższych przybywa w całym kraju. Oto, co piszą mieszkańcy Bielan w gminie Łomazy (woj. białskopodlaskie) w liście skierowanym do premiera Rakowskiego:

„[...] Opłacalność pracy na roli gwałtownie spada. Koszty produkcji przewyższają już dochody rolników i nie ma nawet mowy o prostej reprodukcji naszych gospodarstw. Ceny skupu płodów rolnych rosną o 10, 20, 30 procent, natomiast ceny środków do produkcji rolnej o 100, 200, 300 procent [...]. Kredyty inwestycyjne oprocentowano nam w wysokości 28—30 proc. Przedsiębiorstwa państwowe wyłudzają od nas nieoprocentowane kredyty w formie przedpłat na ciągniki i maszyny rolnicze. A może by tak rolnicy zaczęli pobierać przedpłaty na tuczniki, mleko lub wełnę? Chętnie na ten eksperyment byśmy poszli.

Chłopi wyzbywają się ostatnich oszczędności na przetargach w PGR-ach, RSP i SKR-ach, nabywając zdewastowany sprzęt po nieprawdopodobnie wysokich cenach.

I oto otrzymujemy nakazy płatnicze o ponad 100 proc. przewyższające zobowiązania pieniężne z roku ubiegłego. Zwłaszcza wysoko rażące są naliczenia składek z tytułu ubezpieczeń społecznych, co dotyczy przede wszystkim młodych rolników. Składki te powinny być pobierane od 35 roku życia. Zawyżone są składki ubezpieczeniowe zwierząt i upraw. Te powinny być dobrowolne [...]. Patrzymy z troską, jak nasza wieś podlaska zmierza ku ruinie. W Białskopodlaskiem młodzi uciekają do miasta. Już w tej chwili 21,5 tys. ha stanowi ziemię niczyją. Co trzeci gospodarz przekroczył wiek emerytalny i nie ma prawnego następcy. Za rok, za dwa areał ziemi bez właścicieli prawdopodobnie powiększy się do około 100 tys. hektarów. I nic nie wskazuje na to, że proces ten zostanie zahamowany. Bielany, 14 marca 1989 r.".

O pauperyzacji rolnictwa i rolników świadczy dowolne zestawienie cen płodów rolnych i środków produkcji. Dowodzi ono, że gwałtownie maleje siła nabywcza już nie złotówki, tylko płodów rolnych, bo one stanowią środek płatniczy gospodarstwa wiejskiego. Jeszcze 10 lat wstecz tzw. łapa kultywatora kosztowała 500, potem 800 złotych, obecnie 8000. Wtedy wystarczyło sprzedać kwintal buraków cukrowych, aby nabyć tę łapę, teraz trzeba odwieźć na skup prawie 8 kwintali! „Za Gierka" — jak nazywają rolnicy czasy lat siedemdziesiątych — za litr mleka można było kupić prawie dwa litry paliwa do ciągnika, obecnie trzeba sprzedać dwa litry mleka, żeby kupić litr tego paliwa.

Co do podatków i przeróżnych składek ubezpieczeniowych, emerytalnych itp., najstarsi powiadają tak: przed wojną wystarczyło sprzedać jedną świnię, żeby opłacić wszystkie podatki i składki gospodarstwa pięciohektarowego, włącznie z tzw. fajerkasą, czyli podatkiem ogniowym. Teraz jeden tucznik wystarczy ledwo na jeden hektar. A przecież przed wojną ziemia była najcenniejszym dobrem na przeludnionej wsi. Obecnie wieś staje się pustynią i jak na ironię dobija się ją drakońskimi obciążeniami, i rosnącą nieopłacalnością produkcji rolnej.

Gdy w ciągu ostatnich dziesięciu lat ceny wszystkich podstawowych środków produkcji, zwłaszcza maszyn i narzędzi, wzrosły dziesięciokrotnie, to ceny skupu mleka, żywca, zboża i ziemniaków ledwo pięciokrotnie. Dramatyczne pytanie o los polskiego rolnictwa, a zatem o wyżywienie narodu, pomijane milczeniem na najwyższych szczeblach władzy i jej kolejnych ekip — obecnie zamienia się w zbiorową spontaniczą protestację całej społeczności wiejskiej. Czy mamy tu do czynienia z początkiem masowych strajków chłopskich? Bez pochodów, bez starć z formacjami ZOMO i milicji, bez strajków okupacyjnych i żądań politycznych, nawet poza oficjalnym nurtem odradzającej się „Solidarności" wiejskiej?

Jest to sytuacja jakościowo niespotykana w całym czterdziestoleciu PRL: strajki i burze robotnicze docierały do wsi ledwo odczuwalnym zefirkiem, teraz burza zmieniła kierunek i nadciąga ku miastu. Co więcej — w awangardzie obecnych protestów stanęły związki kółek i organizacji rolniczych oraz koła Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Tego samego, które przez dziesiątki lat wykazywało nieposzlakowaną zgodność swojej linii programowej z oficjalnym kursem politycznym i gospodarczym kraju.

Powstaje paradoksalna sytuacja i równie paradoksalny układ sił: zarówno sami chłopi, jak też oficjalne związki i kółka chłopskie stają ramię w ramię w opozycji przeciwko gwałtownemu pogrążaniu sytuacji wsi, a zatem gospodarki żywnościowej kraju. Tej przemianie oficjalnych związków i kółek, czy raczej zmianie ich frontu, rolnicy przyglądają się z ironiczną nieufnością. Twierdzą, że teraz ZSL i związki rolników i kółek rolniczych chcą się na gwałt uwierzytelnić, „załapać się" na odchodzący pociąg demokracji i nowego układu sił politycznych.

W niektórych wsiach i gminach Lubelszczyzny działacze ZSL i kółek wykazują zdumiewający radykalizm i aktywność. Pojawiają się też afisze przypisujące nawoływania do bojkotu mlecznego — „Solidarności" wiejskiej, zgoła humorystyczne w tych wsiach i gminach, gdzie o „Solidarności" było dotąd głucho. Pojawia się więc oczywista analogia z niedawnymi strajkami robotniczymi, inspirowanymi często przez oficjalne związki zawodowe. Ale i różnica jest wyraźna. Bo chłopscy stratedzy powiadają tak: teraz naszym sprzymierzeńcem jest każdy, kto nawołuje do niepłacenia podatków, do zatrzymywania mleka w domu, kto protestuje przeciwko zagładzie rolnictwa. A potem — zobaczymy. „Słuszna akcja podjęta przez niesłusznych ludzi" — powiedział niedawno słynny weteran chłopskich protestów, Rożek z Łęcznej, obecnie przewodniczący Tymczasowego Zarządu „Solidarności" wiejskiej na Lubelszczyźnie. W sumie jest zadowolony, bo ostatnia seria ciosów finasowych skonsolidowała wieś w proteście jak nigdy przedtem...

Rodzi się zatem pytanie: kto, jakie siły stają się adresatami tego zmasowanego protestu, tak szerokiego frontu? Najłatwiej powiedzieć — rząd. Najprościej, najmniejszym kosztem, niemal z dnia na dzień można spacyfikować wojownicze nastroje wsi przez postawienie do raportu choćby Zakładu Ubezpieczeń Społecznych czy PZU. Spowodować cofnięcie czy choćby złagodzenie tej istnej eksplozji podwyżek świadczeń. Mówi się o przedłużeniu płatności rat ZUS i PZU, o wprowadzeniu od połowy roku dobrowolności ubezpieczeń, preferencyjnych kredytów na zakup gruntów uprawnych.

Doraźne decyzje już wiele razy spełniały rolę sikawki strażackiej. Ale tym razem polskie rolnictwo stanęło pod swoim Stalingradem: cofać się już nie ma gdzie. Skończył się czas obietnic, mniej lub bardziej uroczystych, przeważnie inaugurujących rządy nowej ekipy. Potrzebne są zmiany strukturalne w całej gospodarce. Jej reorientacja w stronę gospodarki żywnościowej. Te formułki, znane każdemu czytelnikowi codziennej prasy polskiej, muszą wreszcie stać się programowym dekalogiem strategii gospodarczej tego kraju — jeżeli w ogóle jeszcze stać nas na coś takiego, jak strategia gospodarcza. Trzeba wrócić do źródeł. Do praprzyczyny upadku polskiego rolnictwa. Do szacunku dla ziemi, dla ethosu pracy na roli.

Przeróżnym mędrcom i wizjonerom trzeba przeciwstawić przenikliwą mądrość chłopskiego przywódcy W. Witosa: „Ziemia jest najważniejszym dobrem, jakie posiadają narody. Bez niej nie może być ani własnego państwa, ani też wyżywienia. Nie jest więc rzeczą obojętną, w czyim ręku skarb się ten znajduje" (Wincenty Witos: „Dzieła wybrane", t. I s. 30).

Idąc za tą myślą, przyjmując ją jako pewnik, nietrudno byłoby nakreślić program działania, ten plan reorientacji gospodarki narodowej, z ziemią jako jej ostoją. W czyim ręku obecnie ta ziemia się znajduje? To już wiemy: w rękach starców i ludzi stojących u progu starości. Groza tego faktu daje się porównać jedynie z fatalizmem katastrofy ekologicznej: nadciąga, wszyscy wołają o opamiętanie, a niczego się w tym kierunku nie robi.

Chłopska „Solidarność", jeszcze nie istniejąca formalnie, czy raczej — nie reaktywowana formalnie, przy podstoliku rolniczym okrągłego stołu jeszcze przed obecnymi protestami przedstawiła swój program poprawy Rzeczypospolitej chłopskiej. Wymieńmy najważniejsze żądania i propozycje.

W sferze gospodarczo-finansowego funkcjonowania rolnictwa podstawową potrzebę stanowi systematyczne zwiększanie nakładów na przemysły obsługujące rolnictwo. Ich potencjał, mimo obietnic rządowych, jest nadal zaangażowany tylko w kilku procentach na rzecz wsi. Na tym właśnie polega potrzeba reorientacji polskiego przemysłu, nie do pomyślenia bez śmiałych i zasadniczych decyzji centralnych i resortowych.

Potrzebny jest także przemysł drobny produkujący dla rolnictwa. Zmora brakujących wideł i dziesiątków narzędzi stała się tak samo uciążliwa jak niedostatek ciągników, opryskiwaczy itp. maszyn. Ten drobny przemysł terenowy na razie nie istnieje, należy więc przyjąć zasadę nieopodatkowania i różnych ulg dla tego rodzaju zakładów i warsztatów rzemieślniczych. Sfera drobnych usług pozwoli też zatrzymać na wsi znaczną część młodzieży.

Kredyty dla rolnictwa muszą stanowić wyodrębnioną i rosnącą wielkość. Ich brak sprawia, że już w pierwszych miesiącach roku banki wyczerpują swoje możliwości kredytowe. Oprocentowanie kredytów na inwestycje powinno zmaleć z 30 do około 12 procent. Stawka procentowa musi jedynie wystarczyć na bankową obsługę tych operacji finansowych. Natomiast kredyty na zagospodarowanie ziemi, odłogującej należy umarzać całkowicie. Nie powinno mieć miejsca zróżnicowanie opodatkowania kredytów, preferujące sektor państwowy i spółdzielczy kosztem indywidualnych gospodarstw.

Obrót płodami rolnymi nie może, jak dotąd, odbywać się z wyłącznym udziałem monopolistów państwowych (skup mleka, mięsa, zboża, owoców, ziemniaków itp.). Urynkowienie gospodarki żywnościowej musi iść w parze z urynkowieniem całej gospodarki narodowej. Jest to jedyny sposób na demonopolizację tej gospodarki. Ceny podstawowych produktów rolnych powinny być gwarantowane, negocjonowane z przedstawicielstwami organizacji chłopskich. Ceny hurtowe towarów produkowanych przez wielkich monopolistów przemysłowych powinny być stale kontrolowane. Handel zagraniczny z udziałem płodów rolnych nie może być obwarowany zakazami dla inicjatyw prywatnych, zarezerwowany wyłącznie dla central państwowych.

Podjęte już przed rokiem rządowe działania antymonopolowe mają nikłą skuteczność, gdyż komisje antymonopolowe są zależne od agend rządowych. Istnieje też oczywista potrzeba rozwiązania nieproduktywnych ogniw hamujących, w rodzaju wojewódzkich i centralnych związków spółdzielczych, jak mleczarskie, ogrodnicze czy tzw. samopomocowe. A jeżeli już mają funkcjonować nadal, to tylko na rzecz działalności związkowej, a nie gospodarczej.

I wreszcie cała sfera zapóźnień cywilizacyjnych wsi w porównaniu z miastem, które w niemałym stopniu zniechęcają młodych do pozostawania na roli. Obecnie drogi wiejskie buduje się tylko społecznym wysiłkiem wsi. Aparat telefoniczny istnieje jeden na całe sołectwo albo wcale go nie ma. Zaopatrzenie w wodę, przy nieprzerwanym obniżaniu się jej ilości i poziomu gruntowego, przekracza już możliwości finansowe gospodarstw. Nauczyciele i lekarze wiejscy za samą swoją decyzję dzielenia warunków życia z ludnością wiejską powinni być preferowani płacowo, a także w zakupach samochodów i deficytowego sprzętu.

Istnieje pilna potrzeba rozszerzenia lekarskich badań masowych ludności wiejskiej. Dotyczy to zwłaszcza profilaktyki ginekologicznej, stomatologicznej i gruźliczej. Ta ostatnia choroba, po dziesiątkach lat uśpienia, zaczyna wracać na wieś. Apteka wiejska nie może też świecić pustymi półkami, rażąco dyskryminowana zaopatrzeniem w leki w stosunku do aptek w większych miastach. Ogromnego znaczenia nabiera cały zespół działań na rzecz zatrzymywania i przyciągania na wieś inteligencji zawodowej. Gwałtownie rośnie w kraju liczba wsi, w których jedynym człowiekiem z cenzusem wykształcenia jest ksiądz miejscowej parafii.

Obecne wrzenie na wsi nie jest dzikim protestem, wywołanym przez — do niedawna „dyżurnych" w środkach masowego przekazu — wichrzycieli, elementy wrogie i nieodpowiedzialne, a także chuliganów i nierobów. Taka retoryka już nie wystarcza dla zdiagnozowania zjawiska ani tym bardziej dla spacyfikowania nastrojów wsi. Nie wystarczą działania doraźne, przeróżne maści skórne. Organizm wiejski jest schorzały do szpiku kości.

* * *

Tymczasem wydarzenia na wsi nabierają tempa i ostrości. W niedzielę (6 IV) odbył się w Piaskach Szlacheckich wiec 5 tysięcy rolników. Powstał komitet strajkowy regionu środkowowschodniego, ustalono listę postulatów, ogłoszono strajk czynny. Wcześniej, 30 III, rolniczka z Romanowa Hanna Piłat, członek KC PZPR, oznajmiła, że zainteresuje protestem premiera Rakowskiego. Premier przybył, ale tydzień później, do Romanowa.

W ubiegłą niedzielę na wiecu w Ostrowie Lubelskim postanowiono wstrzymać strajk czynny do czasu podjęcia rozmów „Solidarności" rolników. Posypały się z inicjatywy działaczy WZKiOR z Zamościa, ulotki nawołujące do strajków w gminach Jaszczów, Ulchówek, Tomaszów Lub. W ten sposób przedstawiciele kółek pragną uwierzytelnić się swym spóźnionym radykalizmem i obroną interesów chłopskich. Działacze „Solidarności" wiejskiej stwierdzają, że w gminach, gdzie nie udało rozbić się struktur „Solidarności", na ogół nie podejmuje się strajków czynnych.

Trzeba jednak pamiętać o tym, że ruch solidarnościowy na wsi dopiero odtwarza lub tworzy własne struktury gminne, toteż Tymczasowa Krajowa Rada tego ruchu na razie nie ma pełnego wpływu na inicjatywy w terenie. Trudno więc oprzeć się retro-refleksji: kto sieje wiatr, ten zbiera burzę...

CHORY SZPITAL CZYLI ABRAMOWICE

Anna Bocian

PRZED dwoma laty najdotkliwszy wydawał się w Abramowicach strach. Nikt nie chciał rozmawiać ze mną w szpitalu, żeby nie stracić premii motywacyjnej. Jeden z lekarzy groził wezwaniem radiowozu, choć rozmawialiśmy w parku. Pewnego dnia zatelefonował do mnie salowy, z którym chodziłam po zakamarkach szpitala, i uprzedził, że na przesłuchaniu powiedział, jak się nazywam. Wyszło też zarządzenie, żeby legitymować osoby wchodzące na oddziały...

Wtedy temat o Abramowicach był nie do ruszenia, bo jeśli tylko sprawy szpitala nabrzmiewały — przewekslowywano je na grunt polityczny. Zebranie personelu na temat warunków pracy w ostatniej chwili połączono z zebraniem przed X Zjazdem PZPR — akcent niezadowolenia został sprytnie przeniesiony i salowi zajęli z góry upatrzone dla nich rozrabiackie pozycje. Podobny los spotkał wszystkich stających w opozycji do dyrekcji, bo oficjalnie opozycja oznaczała podziemie „Solidarności".

Sytuacja ta sprawiła, że ostatecznie do podziemia przeszli chorzy. Nad nimi kłębiły się bzdury i dramaty, nieporozumienia urastały do kosmicznych rozmiarów, odbierały spokój i trzeźwy osąd sytuacji całemu naziemnemu personelowi. Gdzieś tam w Warszawie przedstawiciel rządu upatrywał realny rozwój bazy lecznictwa psychiatrycznego w poczynaniach władz wojewódzkich, ale w Lublinie nikt tego jakoś nie słyszał.

Tymczasem Abramowice zaczął prześladować pech. Tak eufemistycznie można nazwać serię nieszczęść, jakie mogą się zdarzać — i zdarzają się — w obcowaniu z chorymi psychicznie.

Na oddziale klinicznym bokser uzbrojony w nóż zaatakował pielęgniarkę. Na ratunek pospieszył jej lekarz, dżentelmen drobnej budowy, który co prawda boksera uspokoił, ale do pracy wrócił po dwu miesiącach zwolnienia. Straty lekarza: złamanie szczęki, wylew w oku i wybity ząb. Wezwani na pomoc salowi z sąsiednich oddziałów nie przyszli, tłumacząc się brakiem dodatku deficytowego, przysługującego innym pracownikom psychiatrii. Boksera przeniesiono na oddział dla podsądnych, gdzie z kocem i żyletkami napadł na salowego. Salowy uciekł, blokując drzwi.

Później, na oddziale IV, dziewczyna o silnym niedorozwoju wydłubała oczy kobiecie. Obie leżały w pasach, ale dziewczynie udało się z nich wyswobodzić. Wampirkę przeniesiono na oddział VII do specjalnie wybudowanego boksu. Podczas malowania oddziału dziewczyna była pilnowana na dyżurce. Korzystając z chwili zdawania dyżuru, zaatakowała staruszkę ze złamanym biodrem — wyłupiła jej oczy i zjadła.

O mniej dramatycznych przypadkach, takich jak samobójstwa, nawet się nie mówi. Są oczywistością oddziałów psychiatrycznych, karaną cofnięciem premii, przeważnie salowym i pielęgniarkom, którym wypadły akurat dyżury.

Przed dwoma laty najgłośniej narzekali salowi. Twierdzili, że w Abramowicach raban podnosi się tylko w razie wypadku, potem nikt niczego nie pamięta. Na przykład: przez dwadzieścia siedem godzin salowy pilnował mordercy, który uciekł na komin kotłowni. Salowy marzł i dostał za to grosze. Pensje były mizerne, więc nie należy się dziwić, że nikt nie zaryzykował kalectwa, żeby uspokoić boksera. Salowe chodzą z pielęgniarką, żeby mogła zrobić choremu zastrzyk, myją i karmią pacjentów, a kiedy zepsuje się wózek kuchenny lub wozak jest pijany — w towarzystwie bardziej uczynnych chorych idą przez park do kuchni, zawsze z duszą na ramieniu. Mimo to nie mają dodatku za uciążliwość, który, jak na ironię, otrzymują pracownicy apteki, laboratorium, dokumentacji, no i pielęgniarki oraz lekarze. Do tej pory sprawy tej w ministerstwie jeszcze nie uregulowano.

Bolączki salowych, przeważnie finansowe, z trudem wydostawały się na forum. Gdy już do tego doszło przed dwoma laty, w podenerwowaniu zatarło się meritum spraw. Na widok rzadko spotykanego dyrektora salowi urządzili mu owację, padło parę zgryźliwości, parę ostentacyjnych ripost i ostatecznie — poza szarpaniem nerwów — zebranie nic nie dało, nie licząc przeniesienia list obecności z oddziałów na portiernię. Było to utrudnienie, gdyż robił się tłok, bałagan, a i tak nikt nie mógł odejść z dyżuru, zanim na oddział nie dotarł jego zmiennik.

Życie w Abramowicach biegło od emocji do emocji i od plotki do plotki. Pewne sprawy, takie jak permanentny brak salowych w szpitalu, spowszedniały i były, jakby ich nie było. O świeższych ostrożnie szeptano. Dyrektor przestał na przykład płacić za godziny nadliczbowe i oddawał je wolnymi dniami. Cieszył się z tego posunięcia, twierdząc, że nareszcie urwały się drugie pensje salowym i pielęgniarkom. Pewnego dnia naczelny pielęgniarz zakazał nawet wpisywać godziny nadliczbowe do kart rozliczeń. Zresztą wolne dni za godziny nadliczbowe często myliły się z wolnymi dniami po dyżurze i bywało, że ginęły. Ale każdy i tak swoje wiedział, a przynajmniej pamiętał swoje zmęczenie. Nie każdy jednak mówił o tym głośno. Za publiczne przypomnienie tej sprawy zdjęta została ze stanowiska zastępczyni naczelnego pielęgniarza i odesłana poza szpital do hospitalizacji domowej. Oficjalnie nazywało się to karą „za obecność kiełbasy w lodówce z lekami".

Dyrektora — z wykształcenia ginekologa — przezwano pacyfikatorem. Jego porządki nie uwzględniały apelacji. Nie ustosunkował się więc do sprawy godzin nadliczbowych, chociaż pracownicy zdobyli stosowne wyjaśnienie z redakcji „Służby Zdrowia": „za pracę w godzinach nadliczbowych przysługuje wynagrodzenie z dodatkiem i tylko na wniosek pracownika może mu być udzielony czas wolny. W praktyce występują liczne przypadki odstępstw od tego postanowienia".

Niektórzy pracownicy zaczęli kierować sporne sprawy do sądu. Na przykład: niewielki błąd popełniony przez oddziałową z gruźliczego przy naliczaniu godzin — spowodował zwolnienie jej z funkcji. Choć mechanizm błędu wyjaśniono, wydarzenie to zostało wyolbrzymione do tego stopnia, że w piśmie procesowym powódka stwierdziła: „rozmowa, jaką ze mną dyrektor przeprowadził, miała charakter napastliwy i obraźliwy. Dał mi trzy minuty na napisanie rezygnacji. Powiedział, że błąd nie istnieje, że to komitet wojewódzki, wojewoda, pielęgniarka wojewódzka oraz lekarz wojewódzki polecili zdjąć mnie ze stanowiska". Powódka sprawę wygrała. Sąd orzekł, że należy przywrócić jej poprzednie warunki pracy. Do tej pory pracuje jednak jako pielęgniarka odcinkowa.

Wygrana sprawa w sądzie nie oznaczała wygranej w szpitalu. Ordynator oddziału gruźliczego, który ujął się za swoją podwładną, został wkrótce odwołany ze stanowiska jako nie rokujący nadziei naukowych. Powszechnie wiedziano jednak, że publicznie oprotestował zapis w regulaminie rozdziału premii motywacyjnych, w myśl którego dziesięć procent środków miałoby zależeć od bezpośredniej decyzji dyrektora. „Ja to panu zapamiętam" — powiedział dyrektor. Mimo że były ordynator wygrał sprawę w sądzie — ostatecznie nie wrócił na stanowisko i odszedł ze szpitala.

Osobą budzącą powszechny szacunek była ordynatorka oddziału nerwic. Ona najczęściej mówiła na zebraniach, co myśli o obejmowaniu chorych rachunkiem ekonomicznym, i ujmowała się za przemęczonym personelem, który musiał pracować w zmniejszonej obsadzie. Najpierw odbierano jej głos na zebraniach, wreszcie odebrano oddział, przekazując budynek do remontu. Fakt ten interpretowano jednoznacznie, zwłaszcza że mykolog z PKZ przewidywał uciążliwość prac konserwatorskich tylko na parę dni. Ale obsługujący cztery województwa oddział — zlikwidowano. Ordynatorka, wysokiej klasy fachowiec, odeszła ze szpitala. Do dzisiaj oddział nerwic nie istnieje.

Ze szpitala zaczęli odchodzić i inni lekarze.

Zapytany przed dwoma laty o wszystkie newralgiczne sprawy, dyrektor, rozkładając bezradnie ręce, odpowiedział: „To są Abramowice!" Rzeczywistość wyraźnie dzieliła się na dyrektorską i szpitalną, a obie były bardzo odległe od spraw dotyczących chorych. Co tu kryć — w naszej rozmowie interes chorych nie istniał.

Coraz częściej i już bez wcześniejszych emocji mówiono, że dyrektor wykańcza Abramowice. W szepty zaczął wkradać się chichot. Bo też mnożyły się sprzeczne zarządzenia i absurdalne rozwiązania. Dwa przypadki żółtaczek na neurologii, z powodu których rodziny wniosły sprawy do sądu, skwitowano obniżeniem dodatku motywacyjnego, chociaż jednorazowych igieł od tego nie przybyło. Mimo zamknięcia oddziału VII z powodu czerwonki, nie wstrzymano wymiany personelu między oddziałami. Do przeniesienia pacjenta z oddziału psychiatryeznego na wewnętrzny wezwano karetkę z miasta, żeby zadośćuczynić zarządzeniu, że pacjenci nie mogą być noszowymi... A życie ciągle przynosiło coś nowego.

Jedno, co w Abramowicach było stare i niezmienne, to stosunek do chorych, w naukowych publikacjach zwany załamaniem personelu pierwszej linii. Ulegający mu personel zaczyna ograniczać kontakty z chorymi, ci zaś jak pobudzone owady krążą po korytarzach. Coraz bardziej bezosobowe i pozbawione szacunku kontakty z pacjentami sprawiają, że wkrótce personel wygląda i zachowuje się jak w depresji. Zjawisko to prawie jednocześnie występuje u całego oddziału — mówią podręczniki. Nie mówią, czy może się to udzielać całemu szpitalowi.

Dzisiaj o Abramowicach mówi się: chaos i agresja.

Sytuację tę wywołały podwyżki (dla lekarzy do czterdziestu tysięcy złotych), zrównujące pensje salowych i pielęgniarek. Skłócenie podsycały oczywiście plotki. Bez względu na fakt, że należało wreszcie przyzwoicie opłacać salowych — pielęgniarki poczuły się dotknięte. Mimo że na Abramowice przypadła większa niż gdzie indziej pula pieniędzy — ich pensje były mniejsze niż w lecznictwie otwartym. Paradoks ten skłonił je do drobiazgowych rachunków. Z czterystu milionów złotych, przeznaczonych na podwyżki, nie mogły „zlokalizować" czterdziestu milionów. Zorganizowały zebranie, niestety, sobie a muzom, bo nikt z przełożonych nie przyszedł.

Pielęgniarki na zebraniu uchwaliły votum nieufności wobec dyrekcji, zgłosiły potrzebę powołania rady pracowniczej oraz przeanalizowania podwyżek. Przypomniały sobie o atmosferze wywoływanej przez irytujące zarządzenia, wydawane bez rozeznania dyrekcji w specjalności psychiatrycznej. Porównały rozkwitającą czterema sekretariatami administrację z wystawianiem jednej pielęgniarki do stu chorych. Na koniec — jak zwykle — uprzytomniły sobie, że zawsze się znajdzie bat na tego, kto wytknie błąd dyrekcji.

Abramowice to także już znużenie, a nawet zobojętnienie.

Każda z dotkniętych w tym szpitalu spraw równie dobrze mogłaby rozpłynąć się jako niebyła. I zresztą z wieloma tak jest. Nie ma zupy dla przywiezionego nocą pacjenta, który nie jadł dwa tygodnie — trudno. Powiesił się? — widać bardzo tego chciał. Brakuje pościeli i igieł jednorazowych — a czego nie brakuje? Zrozumienie dla normy poniżej wszelkich norm oznacza jednak demoralizację. Efektem jej jest zanikanie powodów do robienia dobrego, do przejmowania się czymś więcej poza własnym interesem. Ale też ludzie będący sumieniem szpitala odeszli — resztę pogaszono i przemęczono. Taki jest ostateczny przejaw arogancji i niekompetencji władzy, która w Abramowicach ma się dobrze od kilku lat.

LISTY

AKCJA „BELWEDER"

Pod wpływem coraz bardziej nasilających się w latach 50. szykan i represji wobec oficerów AK i WP oraz innych osób, które to represje i mnie dosięgły, jesienią 1950 r. relegowano mnie z WSP w Gdańsku za moje przekonania polityczne, a następnie pod naciskiem ZU ZMP tejże uczelni zwolniono mnie w kwietniu 1951 r. z pracy pedagogicznej.

W maju 1951 r., pełen determinacji, zacząłem tworzyć konspiracyjną grupę terrorystyczno-dywersyjną pod nazwą „Niepodległość lub Śmierć", której głównym celem była walka z systemem stalinowskim. Jednym z jej zadań była Akcja „Belweder", polegająca na likwidacji wyższych funkcjonariuszy partyjnych i rządowych. Ofiarami tej akcji mieli być K. Rokossowski, B. Bierut, S. Radkiewicz i inni, jako osoby najbardziej odpowiedzialne za terror w kraju.

W Warszawie po utworzeniu komórki informacyjnej NLS, której zadaniem było inwigilowanie dygnitarzy najwyższego szczebla, w drugiej połowie 1951 roku rozpocząłem przygotowania do działalności terrorystycznej.

Zbliżało się święto 22 Lipca. Postanowiłem tegoż dnia w Warszawie zorganizować zamach na K. Rokossowskiego i B. Bieruta, spodziewając się ich obecności na trybunie. W tym celu pojechałem do Nałęczowa, gdzie jeszcze w 1946 r. ukryłem u babki na strychu domu rewolwer typu Nagant; różnił się znacznie od wz. 30 (mniejszą długością lufy, kolby i spustu). Rewolwer ten miał odłamany kurek, ale liczyłem na mojego zbrojmistrza, że potrafi go przyspawać. Pomimo skrzętnego przeszukania strychu, rewolweru nie znalazłem. Prawdopodobnie moja babka wyrzuciła go na śmietnik. W tej sytuacji zaplanowany zamach na ten dzień upadł.

Między 13 a 17 sierpnia tegoż roku odbył się proces gen. S. Tatara i innych wyższych stopniem oficerów. Wzburzony nowym aktem represji — nie znając dobrze roli, jaką odegrał gen. S. Tatar w przemycie polskiego złota z Anglii do Polski — poleciłem dwóm członkom NLS, „Szarakowi" i „Zającowi", rozlepić i rozrzucić ulotki na terenie Nałęczowa, zawierające ostrzeżenie pod adresem władz w związku z zapadłymi wyrokami na generałów.

Sprawa zamachów zaczęła nabierać realnych kształtów, gdy jesienią tegoż roku otrzymałem wezwanie do wojska. Postanowiłem osobiście dokonać zamachu. Sądziłem, że w czasie defilady lub inspekcji mojej jednostki uda mi się dokonać przy pomocy p.m. zamachu na Bieruta lub Rokossowskiego.

W trakcie przygotowań do wyjazdu do jednostki wojskowej zostałem nie-

NARUSZENIE PRZEPISÓW PRZY WYBORZE PRZEWODNICZĄCEGO MRN W DĘBLINIE JEST FAKTEM

RZECZ O DEMOKRACJI

Wiesław Horabik

SZEŚĆDZIESIECIU radnych MRN w Dęblinie zebrało się 30 czerwca 1988 roku, by wyłonić spośród siebie prezydium. Byli to nowi radni; nie tylko nowi ludzie, ale także ludzie owiani nowym duchem. Przynajmniej niektórzy z nich. Wiadomo, że z samorządem lokalnym nigdy nie było u nas dobrze; ale nie było z nim także większych kłopotów. Przypadkowość w obsadzaniu mandatów i kiepskie wypełnianie obowiązków przez trybunów ludowych pozwalały lokalnej władzy działać nieskrępowanie i poza społeczną kontrolą. „Martwe dusze" sankcjonowały to wszystko i życie mogło się toczyć swoim rytmem według woli sołtysa, przewodniczącego czy jeszcze kogoś z „centrali". Ostatnio jednak coraz większa grupa społeczników upiera się przy skrupulatnym przestrzeganiu prawa. Tak było i w Dęblinie, gdzie radni nowej kadencji postanowili popatrzeć prominentom na ręce. Tak sobie, z niegdysiejszego nawyku i gwoli uczciwości. Poczuli się więc mocno urażeni, gdy wyszło na jaw, iż zrobiono ich „w balona".

Po uchwaleniu porządku obrad przewodnicząca miejscowej komórki PRON, pani Ewa Wojewódzka, zgłosiła w imieniu Komisji Współdziałania dwie kandydatury na stanowisko szefa MRN. Prawnie nie mogła tego zrobić, ponieważ nie jest radną. Paragraf 35 regulaminu VIII kadencji MRN w Dęblinie mówi, że „Przewodniczącego MRN wybiera się spośród radnych, z dowolnej liczby kandydatów, **zgłoszonych przez radnych** MRN uczestniczących w sesji, w głosowaniu tajnym bezwzględną większością głosów". Pani Wojewódzka przyznała później, iż w ferworze walki wyborczej zapomniała o braku mandatu. Ową lukę w pamięci, a także niedogodność regulaminu, próbowano potem nadrobić, nanosząc długopisem poprawkę w stosownym miejscu ordynacji: „Przewodniczącego wybiera się z dowolnej liczby kandydatów, zgłoszonych przed radnych... lub **Komisję Współdziałania"**.

Ale nie tu jeszcze wybuchła bomba. Pozbawieni biegłości w odczytywaniu obowiązujących przepisów, wyborcy przełknęli gładko to pierwsze naruszenie prawa. Nie zareagowali również i wówczas, gdy na wniosek prowadzącego obrady Zygmunta Ługowskiego, kierownik biura MRN pani Kuczułyma odczytała projekt nowego regulaminu wyborów. Było to kolejne przekroczenie norm i to od razu kilku.

„Przychylam się do poglądu, że regulamin powinien być trwały. To znaczy, że obowiązuje on poza kadencją tej rady, która go uchwaliła. Regulamin, jako wewnętrzne prawo rady, należy traktować tak, jak każdą normę prawną" — pisze Zygmunt Zell na łamach „Rady Narodowej" (nr 10 z 11.3.1989). W myśl tej zasady jedyną obowiązującą ordynacją był cytowany już regulamin MRN poprzedniej kadencji. Gdyby nawet pan Zell nie przychylał się do takiego wniosku, regulują to określone przepisy, które wspiera także logika. Zgodnie z Ustawą o Radach Narodowych z dnia 20 lipca 1983, znowelizowaną w dniu 1 stycznia 1989 roku, projekt nowego regulaminu mogłoby przygotować i wnieść pod obrady sesji tylko Prezydium i to po zaopiniowaniu go przez komisje rady narodowej (artykuł 100 ust. 1), Nie mogła zrobić więc tego pani Kuczułymowa, a prezydium nie zostało przecież jeszcze wyłonione.

Próba uchwalenia nowych zasad wyborczych była także przekroczeniem artykułu 93 ust. 1 tej samej Ustawy, który głosi: „Z inicjatywą podjęcia uchwały rady mogą wystąpić: prezydium rady, jej komisje, co **najmniej pięciu radnych** oraz terenowy organ administracji państwowej o właściwości ogólnej". Nie mógł więc z takim wnioskiem wystąpić jeden tylko radny, pan Zygmunt Ługowski. Na dodatek paragraf 36 ust. 3 regulaminu VIII kadencji (a jest to już norma ogólnokrajowa) głosi, iż „Sprawy związane z wyborem i zmianami w składzie prezydium MRN stanowią odrębny punkt porządku obrad sesji". Taki punkt nie figuruje ani w piśmie okólnym, ani w protokole zebrania.

Tak więc zaproponowany nowy regulamin wyborów nie miał mocy prawnej, choć został przez radnych uchwalony. Manipulacją powiało jednak dopiero wtedy, gdy radny-senior, pan Szewczyk, wystąpił z wnioskiem o ograniczenie liczby kandydatów do dwóch, zgłoszonych już na początku zebrania. Wśród radnych zawrzało. Pod presją sali dokooptowano jeszcze trzech pretendentów, przy czym jeden z nich, pan Adolf Borowski, wycofał się z rywalizacji. W tajnym głosowaniu, co do prawidłowości którego nikt nie zgłasza zastrzeżeń, przewodniczącym MRN w Dęblinie na II kadencję wybrano Bogdana Jakubika. Radni rozeszli się do domów w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Wątpliwości zaczęły się, gdy radni po jakimś czasie (jedni wcześniej, drudzy później) otrzymali regulamin VIII kadencji, który powinien był obowiązywać na pierwszej sesji. Wybuchły namiętności, zrodziły się podejrzenia. Znalazły one wyraz najpierw na posiedzeniach poszczególnych komisji, a potem na forum sesji ogólnej. Kierujący wyborczym zebraniem ludzie zaczęli zachowywać się niespokojnie. To wówczas padło owo sławne stwierdzenie: „Zapomniałam, że nie jestem radną", pojawił się odręczny dopisek w regulaminie, zapodział się gdzieś oryginał protokołu.

Na sesji w dniu 29.12.1988 r. radny Krzysztof Karpiński, korzystając z uprawnień zawartych w artykule 114 ust. 3 Ustawy o Radach Narodowych, zgłosił wniosek o powołanie zespołu do zbadania naruszeń prawa w trakcie wyborów przewodniczącego MRN. Wniosek pana Karpińskiego pozostał początkowo bez odpowiedzi, a jego pismo rozpatrzono dopiero na posiedzeniu Prezydium 16 stycznia 1989 roku (przekraczając tym samym normy czasowe przewidziane dla reakcji władzy na skargę obywatela). Po burzliwej dyskusji stwierdzono, że: „Odnośnie prawidłowości przebiegu wyborów i w ogóle sesji inauguracyjnej MRN w Dęblinie, występuje potrzeba zasięgnięcia opinii Wojewódzkiej Rady Narodowej".

Wystosowano odpowiednie pismo.

21 lutego 1989 roku nadeszła odpowiedź z Lublina: „Przedstawiając przebieg wyborów Przewodniczącego MRN, należy stwierdzić, że radni mogli swobodnie wypowiadać się i to

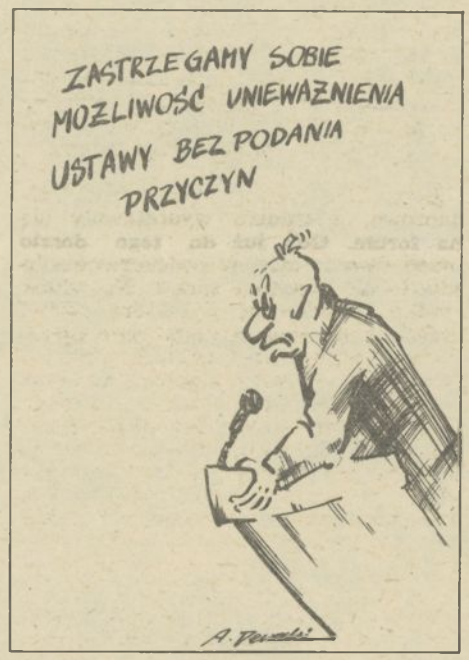

Rys. Arkadiusz Derecki

zarówno co do przyjęcia regulaminu wyborczego, jak i zgłoszenia swoich kandydatów na przewodniczącego MRN w Dęblinie. W świetle powyższego nie stwierdzono, aby zostały naruszone przepisy ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z dnia 20 lipca 1983 roku oraz regulaminu MRN w Dęblinie".

W piśmie WRN brak jednak uzasadnienia prawnego zamieszczonych tam twierdzeń. Nadaje to decyzji charakter nader arbitralny.

Przewodniczący WRN Antoni Pieniążek patrzy na sprawę z perspektywy ogólnego interesu publicznego: „Zawsze staram się kłaść na szalę dwie rzeczy — mówi — dobro społeczne i proporcjonalny do tego dobra rozmiar wykroczenia. Uważam także, że rada może ustalać sama własne normy postępowania. Przepisy są dla życia, a nie odwrotnie. Niemniej zaproponowałem niezadowolonym radnym głosowanie nad votum nieufności wobec przewodniczącego MRN. Na takie rozwiązanie nie chcieli się jednak zgodzić, twierdząc, że przewodniczący cieszy się poparciem większości Rady. Zamknęło to dla mnie »sprawę dęblińską«. Dalsze rozdmuchiwanie tego incydentu uważam za bezzasadne. Mniejszość nie może nigdy narzucać swej woli większości".

To racja. Szkopuł tylko w tym, że stanowisko to ma niewiele wspólnego z istotą poruszanej tu kwestii. Przekroczenie przepisów przy wyborze przewodniczącego MRN w Dęblinie jest faktem. „Przyklepywanie" tej sytuacji stwarza niebezpieczny precedens. Zbulwersowanym radnym z Dęblina chodzi przecież nie tylko o satysfakcję moralną, ale przede wszystkim o praworządność. Problemy mniejszości i większości nie mają tu już zastosowania. Konieczne są radykalne decyzje anulujące bezprawie.

Przewodniczący MRN w Dęblinie Bogdan Jakubik jakby unikał spotkania z prasą. (Jest wciąż w terenie, nie wiadomo, kiedy wróci). W nawiązaniu kontaktu nie pomaga nawet interwencja I sekretarza KM PZPR Wiadomo tylko, że przewodniczący Jakubik dwukrotnie już zgłaszał pragnienie odejścia ze stanowiska. Czuje się rozgoryczony, bezpodstawnie osaczony, wciągnięty w rozgrywkę „nie wartą świeczki"

Od 31 grudnia 1988 roku Miejska Rada Narodowa IX kadencji w Dęblinie podjęła dziewiętnaście uchwał. W świetle przedstawionych faktów prawomocność tych uchwał musi budzić wątpliwość.

Powie ktoś, że od podobnych nieprawidłowości w funkcjonowaniu administracji, aż roi się w naszym życiu społecznym; powie ktoś, że MRN w Dęblinie miała po prostu pecha, bo znaleźli się ludzie zbyt dokładnie pilnujący przepisów: powie ktoś, że to burza w szklance wody, bowiem trudno tu nawet dopatrzeć się czyjejś złej woli, zadziałał jedynie stary, niedobry nawyk, a przewodniczący Jakubik prawdopodobnie zostałby wybrany i według dawnych zasad; powie ktoś... i wszystko to będzie tylko objawem myślenia po dawnemu, sankcjonowaniem ustawiania tego państwa na głowie, podnietą do wiecznych sporów: państwo — obywatel.

Casus dębliński bowiem to nie tylko dowód na bezhołowie prawne i arogandkie nawyki władzy, funkcjonujące w naszych organach samorządowych. To przede wszystkim sprawa demokracji. Jej losy zależeć będą nie od tego, co wypracuje „góra", ale od tego, jak osadzi się ona na dole, w bezpośredniej bliskości codziennych ludzkich spraw. Brak natychmiastowej reakcji na nieposzanowanie jej zasad podgrzewa jedynie ów tygiel napięć, które coraz częściej wychodzą na jaw w terenie, podczas gdy z głośników padają gładkie słowa o optymizmie Porządkowanie życia trzeba zacząć od „drobiazgów". Owo zderzenie „radnych" (społeczeństwo) z „Komisją Współdziałania" (władza) ma znaczenie kapitalne. Kto bowiem zdobędzie się potem na lament o nieprzygotowaniu Polaków do demokracji?

---

spodziewanie aresztowany przez WUBP w Lublinie na podstawie oskarżenia J. S. o przynależność do nielegalnej organizacji i posiadanie broni palnej.

Podczas rewizji znaleziono u mnie instrukcję organizacyjną, w której wymienione były: cel i zadania konspiracyjnego ugrupowania, co wywołało zrozumiałe zainteresowanie wśród funkcjonariuszy WUBP działalnością tej organizacji. Chciano uzyskać ode mnie jak najwięcej informacji, szczególnie dot. Akcji „Belweder".

Ponieważ w toku intensywnego śledztwa nie uzyskano ode mnie żadnych konkretnych dowodów rzeczowych w tej sprawie, w trzy tygodnie od chwili aresztowania, niespodziewanie — po ogoleniu i ostrzyżeniu — doprowadzono mnie przed oblicze szpakowatego, przysadzistego podpułkownika, przybyłego na inspekcję do Lublina z MBP w Warszawie.

W gabinecie, wypełnionym kilkudziesięciu nieznajomymi oficerami UB i KBW, byli obecni także szefowie wydziałów śledczego i operacyjnego oraz zastępca szefa WUBP (gdyż sam szef WUBP w Lublinie, płk Jastrzębski, został już aresztowany). Po „omówieniu" ze mną braku dwóch stronic z mojego czarnego notesu — podejrzewając, że to moje ugrupowanie dokonało zamachu na aktora Stefana Martykę — z ust podpułkownika usłyszałem znowu wielokrotnie zadawane mi już pytanie: gdzie mam broń? Odpowiedziałem, że nie mam żadnej broni palnej poza sześciostrzałowym niemieckim karabinkiem pneumatycznym.

— Co? — zdenerwował się podpułkownik. — Może mnie powiesz, że z tej broni zamierzałeś strzelać do Rokossowskiego?

— Tak, oczywiście — oświadczyłem z głupia frant. Wtedy podpułkownik, czerwony jak burak z oburzenia, wrzasnął:

— Słyszeliście?! A to swołocz, z wiatrówką na Rokossowskiego! Z wiatrówką... — pan podpułkownik aż się zapienił. Po tych słowach otrzymałem silny cios w usta... raz, drugi, trzeci, aż mi pękły wargi.

Po tym incydencie do sprawy zaplanowanych zamachów na wyższych dostojników państwowych w toku dalszego śledztwa już nie wracano. W akcie oskarżenia na rozprawie przed Wojskowym Sądem Rejonowym jakby celowo pominięto tę akcję. Może nie chciano w owym czasie przed opinią publiczną podważać mitu o nietykalności Pierwszego.

W połowie marca 1952 roku, wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Lublinie, zostałem skazany na 8 lat więzienia.

Janusz Gosiewski
Lublin

CERKWIE, MONASTERY

Bronisław Seniuk

„CERKIEW nowa, wielkiej magnificencji, drewniana, na podmurowaniu, wysoka. Na górze, oddal od wsi i dworu, ze schodami gradusami do krużganku; sztuką włoską i misterną, na formę krzyża.

Na niej cztery kopułki z krzyżami, na dachach łamanych, piąta kopuła środkiem najwyższa, blachą żelazną pobita, z krzyżem wspaniałym, pozłocistym, w górę bardzo wyniosłym...

Krużganek na kolumnach rytych...

Okien u samej kopuły ośm, do których prospekt ze środka — mniejszych, a niżej troszeńko ośm, daleko większych. W samej górze słonko malowane, na dnie niebieskim; między gwiazdy niżej idąc malowanie ad instar obłoków, a między oknami niższemi dziwne osób copersztychy, a jeszcze niżej obrazy wspaniałe, wielkie, pustelników. Między nimi krzyż wielki, a miejscami drzewa różne i anioł z pochodnią, z ogniem nad piekłem. Jeszcze niżej figury ewangelistów. Tak wielką pracą malarską od samej kopuły wszystko sklepienie zajęte.

Ściany wszystkie biało farbowane".

Cytowany opis stanowi fragment inwentarza cerkwi w Chmielewie koło Brześcia, w historycznej greckokatolickiej diecezji włodzimierskiej. Inwentarz jest przechowywany w Państwowym Archiwum w Lublinie.

Nieznany twórca dzieła był mistrzem późnobarokowej sztuki — scenografię opracował w sposób wyrafinowany. Dekoracyjność bryły, snycerka, malowidła i kontrasty: wytworne białe wnętrze, złocony ikonostas, a wielobarwne kopuły. Biel wnętrza, bonlowanie — to są już elementy charakterystyczne dla klasycyzmu.

Budowlę założono na planie greckiego krzyża i przykryto pięcioma kopułami. Kopułę wielką wieńczył złocony krzyż. Podniebie na wzór niebieskiego firmamentu pomalowano na kolor niebieski, a na jego tle przedstawiono skomplikowane ideowo malowidła. Dolną sferę czaszy zajmowały postacie ewangelistów dźwigających na ramionach niebiosa. Nad prezbiterium rozpięto sklepienie z unoszącym się w promieniach, nad obłokami, Duchem Świętym.

Świątynia leżała na osi przemarszu wielkich umundurowanych kolumn w 1812—1813 r., wśród pożogi 1914—1920 r. i 1939—1944 r. Ocalała i stoi na mogiłkach, a kojarzona z cytowanym konsystorskim inwentarzem, przypomina mi o sobie w zupełnie nieoczekiwanych okolicznościach...

Sklepienie niebiesko z gwiazdami malowane... Carskie drzwi snycerskie, pod pozłotą".

Wnętrze nawy — jak widać z opisu — przykryto kopułą, a szyby okien przeprutych w tamburze zapełniono malowidłami przedstawiającymi uczniów Chrystusa.

Ścianę ikonostasową wykonano z bogato dekorowanego stolarsko-snycerskiego szkieletu wypełnionego rzędami ikon. Dzieło olśniewało ornamentem rzeźbiarskim, malarstwem figuralnym, złoceniami.

W strukturze architektoniczno-konstrukcyjnej uzewnętrzniała się osobliwość, wynikająca z faktu istnienia w bryle drewnianej, prowincjonalnej budowli dwóch świątyń: nad babińcem cerkwi pod wezwaniem Chrystusa Pana, przedzielonym stropem na dwie kondygnacje, zaprojektowano i zrealizowano kaplicę pod wezwaniem Protekcji Najświętszej Marii Panny, opasaną z trzech stron krużgankiem. Wnętrze kapliczki przykrywała kopuła. Podniebie potynkowanej kopuły pomalowano na niebiesko i usiano gwiazdami. Na szyby w oknach kopuły malarz naniósł wielobarwne postacie pustelników.

Cerkwie z kaplicą nad kruchtą i arkadową galerią na drugiej kondygnacji nie występowały na Podlasiu. Budowla sławatycka jest jedynym znanym egzemplarzem. Zgrupowane były w Galicji, przede wszystkim w okolicy Drohobycza.

Według Tadeusza Obmińskiego, profesora Politechniki Lwowskiej, specyfika dzieła wynikała z potrzeb inkastelizacji. Uczony nazwał cerkwie grodowymi i łączył je bezpośrednio z niewielkimi systemami obronnymi. Tadeusza Obmińskiego interesowały nie tylko dziedziny teoretyczne. Restaurował rzymskokatolicką katedrę we Lwowie i kaplicę Boimów. Zaprojektował w stylu huculsko-secesyjnym ukraiński hotel.

Osobliwością artystyczną wyróżniała się takie cerkiew w Sławatyczach nad Bugiem, fundacji Radziwiłłów. Szczep zorganizowany przez Radziwiłła Ostikowicza, wojewodę i kasztelana, marszałka litewskiego, odszedł od prawosławia, zmieniał wielokrotnie konfesję, był wspaniałym mecenasem sztuki.

„Cerkiew sama drewniana, niestara, struktury gładkiej, wspaniała. Ganeczek przed babińcem ad instar krużganku, z którego boku schody kryte z wycieczką, z krużgankiem na babiniec.

Na którym babińcu cerkiew drugim porządkiem, założenia Protekcji Najświętszej Matki, o której niżej. Na tym babińcu kopuła wyniosła, z wierzchu suto żelazną blachą kryta, z krzyżem wielkim, żelaznym. W tej kopule, w oknach samych pustelników conterfecty malowane...

Na samej cerkwi kopuła większa, także blachą żelazną suto pokryta, krzyż wielki z gałką miedzianą, pozłocistą... W kopule wielkiej na cerkwi w oknach dwanaście apostołów gładko malowanych...

Cerkiew na babińcu wyżej wymieniona na górze, ta cała tynkowana.

Michał Dragan, ukraiński architekt, w tym typie architektury sakralnej widział naśladownictwo sztuki bizantyjskiej i przytaczał analogie z Półwyspu Bałkańskiego i Athosu.

Świątynia sławatycka spłonęła w 1915 roku, kiedy świat pierwszy raz zdecydował się na akt zbiorowego samobójstwa. Uciekająca przed toczącym się na wschód kajzerowskim i cesarsko-królewskim żelaznym walcem, armia rosyjska stosowała taktykę spalonej ziemi; palono nadbużańskie wsie, ludność ruszyła w tysiąckilometrową poniewierkę.

Klechdowością zadziwia usytuowanie w krajobrazie zespołów cerkiewnych, pustelni i monasterów. Stały, pochowane, w najprzedziwniejszych uroczyskach, przy przedwiecznych pogańskich źródłach i dębach.

„Kaplica świętego Onufrego ma swój osobny diariusz spisany... Będąca w lesie, na obszernym grądzie, o ćwierć mili od Drelowa... na miejscu przystojnym, wesołym, Horodek zwanym, wkoło niby wodą błotami i lasem otoczonym..."

NICZYJE DUSZE Z POGRANICZA

Dokończenie ze str. 1

gli użyć polskiego przezwiska „Łemko".

Być może pradziadowie moich rozmówców rozumieli pytanie o narodowość od czasu, gdy w drugiej połowie dziewiętnastego wieku przecięły tę ziemię koleje żelazne. Może już wtedy ludzie z tych stron dowiedzieli się, co znaczy słowo „naród". A jeżeli nawet nie wówczas, to z pewnością w czasie pierwszej wojny światowej i tuż po niej, kiedy byli w tzw. „bieżeństwie". Znaleźli się wówczas daleko na wschód od swojskich miedz, w gąszczu szalejących nacjonalizmów i rewolucyjnego bałaganu. Przymusowe peregrynacje po bezkresach Rosji pozwoliły im poznać wiele narodów, często dużo więcej, niż widział nasz domniemany ankieter, czy niektórzy wojujący nacjonaliści. Żaden nie był ich narodem.

Później wrócili. Prawie wszyscy wrócili. Chyba, że ulegli rewolucyjnym namiętnościom lub byli ich przypadkowymi ofiarami. Chyba, że tyfus lub głód kazał im umrzeć daleko od domu. Większość jednak dotarła do swoich, często splądrowanych lub spalonych siedzib. Do rzeczywistości, której już nie było, do wspólnoty, która się rozpadła, a którą próbowali na przekór rzece czasu odbudować.

Wówczas dopadło ich z całą mocą pytanie o narodowość, konieczne do samookreślenia się w nowej rzeczywistości, wschodzącej zaledwie II Rzeczypospolitej. Ich narodowe niezdecydowanie uznano za dobry grunt dla polonizacji. I robiono to w możliwie najbardziej nieudolny sposób. Dostaniesz posadę państwową, ale przejdź na katolicyzm. Woleli żyć ze skrawka ziemi, tym bardziej, że i posad państwowych było niewiele. Przejdź na unię, będziesz bliżej słusznego nieba. Woleli jednak prawosławnego Boga i obietnicę prawosławnego nieba. Na nic się zdało tłumaczenie, że przecież nie tak dawno — na tyle niedawno, że najstarsi ludzie jeszcze pamiętali z opowiadań swych ojców — do prawosławnego Boga przekonali ich nahajkami carscy Kozacy. Oni to dopiero wybili z prawosławnych chłopskich łbów zwierzchnictwo papieża. Bardziej uczeni dodawali, że zanim zostali unitami, czy „uniatami", jak mówili, byli przecież prawosławni. Niektórzy — niechętni także prawosławnemu Bogu, a jeszcze bardziej klerowi — szukali ucieczki w radykalizmach społecznych lub kwitnącym wówczas sekciarstwie religijnym.

Później, w 1939 roku, Białostocczyzna wcielona została do radzieckiej Białorusi i powiedziano im: jesteście Białorusinami i już. Tych, którzy mieli jakieś wątpliwości (byli to najczęściej tutejsi Polacy, chociaż nie tylko), wysyłano, aby dokładnie przyjrzeli się realiom budowy socjalizmu na Syberii lub w Kazachstanie.

Po wojnie powtórzono, to, aby nie łamać sobie głowy z jakimś narodowym galimatiasem. Nie wszyscy jednak w tę swoją białoruskość umieli uwierzyć. Szczególnie wielu niezdecydowanych mieszkało na południe od Narwi, gdzie mowa białoruska brzmiała obco, jakoś dziwnie, a nawet odrobinę śmiesznie.

Moi rozmówcy przejęli po ojcach i dziadach to narodowe niezdecydowanie i wnieśli w nową sytuację — we współczesność, w polską teraźniejszość. Są wśród nich studenci, pracownicy naukowi, lekarze i artyści. Otoczeni zewsząd żywiołem polskim, żyją jego życiem, podzielają namiętności, radości i troski, a jednak czują się w nim obco. Niektórzy stoją u progu znakomicie zapowiadających się karier, wielu bywało w świecie, i to nie tylko przy zmywaniu talerzy, a jednocześnie ich jedyną prawdziwą ojczyzną jest mały białostocki kraniec Polski. Nie mogą o sobie powiedzieć, jak ich przodkowie, że są „tutejsi", a jeśli już, to co najwyżej „tamtejsi" i wskazać za Bug.

„Moja ojczyzna — twierdzi Piotr — to wieś, w której się urodziłem i ludzie tam mieszkający. Tutaj, w Warszawie, nie czuję się do końca u siebie, chociaż mieszkam już 14 lat. Ale cóż na to poradzę? Przecież nikt nie wybuduje politechniki w mojej wsi, a w POM-ie elektronik z naukowym zacięciem chyba się nie przyda".

Inni szukają ucieczki w jakichś kosmopolityzmach, panslawizmach, internacjonalizmach, czują się obywatelami świata, Europy lub tylko Europy Środkowej.

Jednak wszystkie te pomysły to rozpaczliwe próby znalezienia sobie jakiegoś miejsca, skazane na niepowodzenie usiłowania rozwiązania tej skomplikowanej sytuacji emocjonalnej.

Ich przyjaciele ze szczenięcych lat, mieszkający gdzieś w Hajnówce, Bielsku Podlaskim, Siemiatyczach czy Białymstoku, jakby mniej chorują na poczucie obcości. Tutaj każdy jest przyzwyczajony do „różnorodności pogranicza. Jest miejsce także dla takich jak oni. Zawieszeni między polskością i białoruskością — w naturalny sposób stają się mediatorami — przez wszystkich traktowani są jako swoi. Co prawda i tutaj nie zawsze czują się dobrze. Raz rozdrażni ich neoendecka nuta, innym razem zanudzi młody, zakompleksiony nacjonalizm białoruski. Niemniej tutaj ich sytuacja jest czymś normalnym — wpisana w miejscowy krajobraz, w tutejszą różnorodność. Problemy zaczynają się, kiedy stąd odjeżdżają.

Wola wmieszania się walczy z chęcią ucieczki, powrotu do bezpiecznej swojskości. Czasami wracają. Niejednokrotnie okazuje się wtedy, że utracili także tę małą ojczyznę, że nawet ona jest rajem bezpowrotnie utraconym, a ich losem jest samotność i wydziedziczenie. Wielu pozostaje i rozrzuceni — od Szczecina po Śląsk — płyną pod prąd własnych uprzedzeń i kompleksów oraz niechęci do ich „ruskości".

Najczęściej swoją prawosławną ruskość skrywają z lęku przed śmiesznością i pogardą lub tylko dla wygody. Każda ich deklaracja domaga się komentarza i trzeba tłumaczyć, tłumaczyć, tłumaczyć... Jednak i to tłumaczenie nieraz zdaje się na nic, gdyż na koniec i tak pada zwykle pytanie: „To kim ty w końcu jesteś — Białorusinem czy Polakiem?". Jak wyjaśnić komuś niekresowemu, że dwaj bracia mogą deklarować różne narodowości i wcale ich te opcje nie muszą dziwić ani różnić. Wiedzą, że białoruskość jednego podobna jest do polskości drugiego — równie są chybotliwe i niepewne.

Te wybory nie są dramatycznymi odpowiedziami na sytuacje ostateczne; ostateczny wybór mogłaby wymusić jedynie krańcowa sytuacja, której — na szczęście — tej wspólnocie okrutnica historia oszczędziła. Nie są to wybory, jakie zdarzały się na pograniczu polsko-litewskim czy polsko-ukraińskim, gdzie brat nieraz walczył z bratem.

Ich niczyje dusze, wrzucone w polską jednorodność, wszędzie wietrzą endeckie upiory. Jerzy (historyk) mówi wprost: „Dmowski twierdził, wbrew Piłsudskiemu, że należy tylko pozwolić Polakom działać, a okaże się, że w głębi duszy są nacjonalistami. Wówczas nie była to chyba prawda. Dzisiaj, po ponad czterdziestu latach PRL, miałby chyba rację, że w swej podstawowej masie Polacy są nacjonalistami".

Monaster pustelnicki alias ohladowski. Monaster sawczyński „drewniany słomą poszyty, z korytarzykiem, po obu stronach celle"... Klasztor „nad szumem, nad Tanwią", z cerkwią, kaplicą, wirydarzem, refektarzem. Monaster werchracki. Kto o nich słyszał? Przecież ich już nie ma. A może i Werchraty też już nie ma.

Monaster w skalnej pieczarze w Poczajowie powstał w XIII wieku. Według wielopokoleniowego przekazu, istniejący na skale ślad stopy pozostawiła pojawiająca się Madonna. Istniejącą obecnie barokowo-klasycystyczną cerkiew pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny ufundował Mikołaj Bazyli Potocki, starosta kaniowski, kresowy arystokrata. Trójnawową bazylikę z centralną kopułą i dwiema wieżami w fasadzie zaprojektował Godfryd Hoffman, śląski Niemiec.

Greckokatolicką katedrę w Chełmie pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Marii Panny fundował władyka chełmski, Filip Wołodkowicz. Cerkiew w Rudzie koło Chełma datowaną na 1557 r. „budował pop Ostap Kozłowicz mieszczanin chełmski". Cerkiew w Żurobicach, w dekanacie drohiczyńskim ufundowała „Helena Moskiewka, kniahini Połubińska".

Murowaną cerkiew zamkową pod wezwaniem Świętego Ducha w Kodniu wzniósł Paweł Sapieha. Gotyckie dzieło stanowi fenomen w architekturze cerkiewnej. Jest przykładem synkretyzmu kulturowego z pogranicza polsko-ukraińsko-białoruskiego. Jan i Paweł Sapiehowie, wschodni możnowładcy, wychowani w bizantyjskiej tradycji, zetknęli się z rozwiniętą kulturą łacińską, dla której tworzywo intelektualno-artystyczne dała cywilizacja Grecji i Wschodu. Może formalne sprzeczności, tkwiące w bizantyjskim i gotyckim założeniu, są dowodem harmonii wyrażającej złożoność światowej kultury. Feudałowie wywodzący się z rodów ruskich i litewskich przez pokolenia byli rozdzierani wewnętrznymi sprzecznościami, co w pewien sposób rzutowało również na formy ideowo-artystyczne ich rezydencji. Na związki Sapiehów, Tyszkiewiczów, Szeptyckich, Dzieduszyckich z narodowym ruchem ukraińskim w XIX i XX wieku zwrócił niedawno uwagę „Kwartalnik Historyczny".

Myców między Uhnowem a Warężem. Wnętrze cerkwi całe w malowidłach. Apostołowie, patriarchowie, anioły i archanioły. Ornamenty i inskrypcje. Empora śpiewacza, galerie, galeryjki. W kopule nad nawą dwie kondygnacje gallerii na rzucie koła. Fatamorgana wielkiej sztuki czy sztuka ludowa? Malowidła zostały zinwentaryzowane przez krakowskich artystów w latach sześćdziesiątych. Inwentaryzacja pewnie zostanie zachowana, cerkiew ginie.

Między wyniosłą cerkwią dłużniowską a jednokopułową, o przepięknie polichromowanym wnętrzu, cerkwią mycowską, w przygranicznej zonie stoi w toczeniu starych i nowych krzyży, płyt nagrobnych, lip i akacji, murowano-drewniana cerkiew w Wyżłowie. Na północnej ścianie nawy zawieszono oprawioną w malowane na czarno ramki fundację:

„Służba fondacyjna

Kożdoczasnyj paroch parochiji Dowżniw z Wyżłowom obowiazannyj szczo roku w deń 3 czerwnia widsłużyty odnu Służbu Bożu spiwanu z parastasom za duszu Błażennoji Pamjaty Kosmy Gajochy, hospodara z Wyżłowa, pomerszoho dnia 11 cwitnia 1912 r. fundatora odnoho morha pola ornoho na ricz cerkwy u Wyżłowi..." Na balustradzie śpiewaczej empory ciemnieje natomiast tablica epitafijna Romana Jakimowicza, fundatora dzwonnicy cerkiewnej.

Wyżłów, za którym już tylko słupy graniczne i pas solidnie bronowanej ziemi. Czarnoziem. Ziemia czarna, perwersyjnie bogata. Humus fermentuje i kipi. Pożywne soki rozrywają komórki w łodygach i liściach. Ziemia grzeszna.

Co tutaj zmienił czas? W Szczepiatynie przy kładce na Rzeczycy, jak przed półwieczem, słychać tupot bosych chłopięcych stóp. Wiosnę cerkwi chłopiatyńskiej przynosi bociani klekot. Zjawia się i odlatuje do Egiptu. Wysiedleni na żuławskie mady, mieszkańcy Korni przyjeżdżają, by uklęknąć przy mogiłach swoich bliskich i remontować skorodowaną dzwonnicę. Czy czas stanął w miejscu, czy ucieka przed nami jak biegacz przed goniącą go bezskutecznie strzałą eleaty?

Kodeń — cerkiew Świętego Ducha. Fot. Waldemar Stępień

Być może opinia ta jest wynikiem nadwrażliwości, alergiczną reakcją na wszelkie przejawy „bogoojczyźnianej" retoryki, jaka niewątpliwie tu i ówdzie się pojawia, szczególnie na poziomie świadomości potocznej. Być może jednak codzienne doświadczenia tych ludzi powodują, że ich drażliwa świadomość jest wyjątkowo czułym wskaźnikiem społecznych nastrojów.

Wiktor, wyjeżdżający na Zachód z zamiarem pozostania tam, mówi mi: „Przecież każdy w tym kraju powie ci, gdzie powinien leżeć asfalt i co myśli o »śniadych« lub »beżowych«. Wszystko, co się złego dzieje, to oczywiście wina jeśli nie Żydów, to Ukraińców, gdyż moda na obwinianie cyklistów jakby przeminęła. Jak ma mi nie być za ciasno? Przecież może przyjść czas na takich, jak ja. Dlatego wyjeżdżam i tylko dlatego". Dystans i bliskość wobec „polskiego Kosmosu" w osobliwy sposób w nim grają, gdyż już po chwili, po tak gwałtownych i krytycznych sądach, popada w tony zwykle uważane za przejaw polskiej megalomanii. Coś go kusi i coś odpycha.

SZCZEGÓLNIE źle i niepewnie czują się, gdy społeczeństwo polskie rozdzierają konflikty. Ostatnie lata nie szczędziły im takich doświadczeń. Wówczas zaangażowanie po którejkolwiek stronie kwitowane jest przez stronę przeciwną jako pochodna ich „ruskości". Wszystkie strony konfliktów nadużywają narodowych symboli i narodowej frazeologii. Sytuacja upraszcza się wówczas do „albo — albo". Różnorodność, bogate spektrum postaw społecznych, przyjmuje postać fałszywej dychotomii i brutalnie odrzuca wszystko, co się nie chce lub nie może zmieścić w obcęgach konfliktu. Sytuacja trudna do zniesienia również dla wielu Polaków — im zdaje się mówić: „to nie wasza sprawa" i odrzucać brutalnie na bok. Kiedy pomimo to decydują się na uczestnictwo i opowiadają się po którejś stronie, towarzyszy temu niepewność.

„Pamiętam — mówi Grzegorz — jak czułem się w »Solidarności«. Byłem jej aktywnym działaczem. Jednocześnie drażniło mnie nadużywanie patriotycznych uniesień, budzących niejednokrotnie ciemne plemienne instynkty. Także ostentacyjna katolickość związku była mi obca. Rozumiem, że większość członków to katolicy, ale stosunek do nielicznej czy choćby potencjalnej mniejszości decyduje o otwartości i wewnętrznej tolerancji. Zdarzali się też działacze o tępo nacjonalistycznej mentalności. Na szczęście to nie oni nadawali ton i tylko dlatego możliwy był jakiś kompromis, bo moja działalność w »Solidarności« była właśnie niełatwym kompromisem. Moją prawosławność i »białoruskość« wytknięto mi, ale nie w związku tylko na jednym z przesłuchań w 1982 roku. Chyba jednak dobrze wybrałem, mimo że w »Solidarności« coś mnie uwierało i gniotło i nie czułem się zbyt dobrze".

Uczestnictwo po drugiej stronie konfliktu zwykle wiązało się z podobnymi wątpliwościami i rozterkami, tyle, że „partyjne" przejawy nacjonalizmu wychylały się nieraz spod internacjonalistycznego frazesu.

W rodzinnej Białostocczyźnie wszyscy zdają się uwzględniać dwunarodowość. Nawet sztandar „Solidarności" regionu białostockiego dwa razy był kropiony wodą święconą: raz na katolicki, raz na prawosławny sposób. Jeżeli są jakieś tarcia i podchody, a także nieco wzajemnej nieufności, to rządzą nimi reguły dobrze znane. Co innego w „diasporze". Tutaj skazują często swoje prawosławne dusze na samotność i wyobcowanie, tym trudniejsze, że walczące z pokusą uczestnictwa. Obcość przemienia się nieraz w poczucie niepełnej wartości, w trwały piekący kompleks, prowadzi do odrzucenia wielu pociągających form uczestnictwa w życiu społecznym. Łagodzą to poczucie niespełnienia przesadną pracowitością, czasami zgorzkniałym cynizmem, innym razem wódką.

Najczęściej zamykają się w rodzinnym domu. Nie do końca wtopieni w polskość, przez ostrożność nie obnoszą się za bardzo ze swoją „ruskością". Chowają się przed pogardą i śmiesznością, protekcjonalizmem i ironią, skazując się na nieobecność ze szkodą dla siebie i tych, pośród których żyją. Jeżeli już tłumaczą się ze swoich zawiłych uczuć i rodowodów, to tylko najbliższym przyjaciołom — tym, na na których rozum i wrażliwość liczą. Nieraz okazywało się, że przecenili ten rozum i wrażliwość. Nie zawsze nawet we własnym domu znajdują spokój i ukojenie.

Piotr opowiada mi o małżeństwie swojego kolegi: „Wszystko układało się dobrze, aż przy okazji jednej z normalnych kłótni żona powiedziała mu: »kacap«. To nic, że po chwili zrozumiała, zaczęła się wycofywać, tłumaczyć, przepraszać. Pozostała w nim zadra. Teraz niby jest dobrze, ale jakoś inaczej".

Jerzy, którego żona też jest katoliczką, mówi, że gdyby wiedział, ile upokorzeń będzie go czekało przed ślubem — nigdy nie zgodziłby się na ślub kościelny. Robiono jakieś dziwne trudności, sugerowano, aby przeszedł na katolicyzm, były aluzje i nie kończące się papierki. Jego znajomi zawarli taki mieszany ślub w Berlinie Zachodnim, gdzie obyło się bez zamieszania, zbędnych kłopotów i prób nawracania zbłąkanej owieczki na słuszną drogę.

Niektórzy z nich mówią o sobie, że są Białorusinami, i to nawet wówczas, gdy się nimi nie czują, białoruskiego nie znają, a nawet podlaską gwarą swoich dziadów posługują się niepewnie. Czasami umieją uwodzić polskie serca swoistym kresowym czarem, wylewną wschodnią duszą, przepastnym gardłem czy też hajdamacko-kozackim temperamentem. Wschodnia dusza ma dla Polaków swoisty charme, ale są to fascynacje płytkie, folklorystyczne, odgrywane na źle nastrojonej strunie dla uszu o lichym słuchu.

CZASEM spotykają takich samych jak oni. Szybko rozpoznają się — po sciszeniu głosu, gdy się mówi „naród", po zmieszaniu, gdy rozmowa dotyczy wschodu. Chociaż czują jakieś duchowe powinowactwo, nie pragną zamykać się w jednobarwnym środowisku swoich ziomków. Mimo wspólnoty losu nie pragna się organizować. Nie mają żadnych postulatów, roszczeń i aspiracji dotyczących tylko ich spraw. Nawet żale duszą w sobie i niechętnie dzielą się nimi także z tymi, którym los ich jest bliski. I tak żyją, z jakimś rozbieżnym zezem, zmuszającym do patrzenia na wschód i na zachód jednocześnie, ze świadomością ocienioną dwoma narodami — ludzie niczyi, nie stworzeni na uczestników, ale na obserwatorów. Może ich dzieci utopią się w polskość, a może przeniosą się jeszcze dalej w przeszłość, w tę archaiczną sytuację odziedziczoną po dziadach, którzy kiedyś okazali się głusi na narodowy zgiełk.

Podobno „najlepsi przychodzą jako widzowie". Czy ta niezgoda na jakiegokolwiek narodowego chochoła, przy równoczesnej otwartości na różne tradycje narodowe, nie uczyni ich bogatszymi? Czy ktoś z nich skorzysta z tej wyróżnionej sytuacji, pozwalającej być uczestnikiem, a jednocześnie bezstronnym, wrażliwym obserwatorem? Przecież częsta to sytuacja, że nowe pojawia się na skrzyżowaniu różnych kultur i tradycji oraz na obrzeżach narodowej rutyny. A może roztopią się w szarej zwyczajności, przystrojeni w jakieś narodowe piórka, i zamiast być pośrednikami mogącymi kakofonię narodowych monologów przemienić w rozmowę, unicestwią swoje rozchybotane kresowe dusze, poddając się trującym resentymentom i kompleksom.

Wiktor jest już w Londynie. Zamienił obcość tutaj na dużo głębszą obcość tam. Zamierza zostać tam na zawsze. Może wróci jednak, bogatszy nie tylko w funty szterlingi, ale tak jak w klasycznej oświeceniowej powiastce — w mądrość i nowe doświadczenia? Może z angielskiej perspektywy, stęskniony do swojej małej ojczyzny i oceniających ją narodów, odnajdzie miejsce dla siebie u siebie? Przed wyjazdem mówi jednak: „Ci wszyscy odurzeni narodową pychą, klepiący mnie protekcjonalnie po plecach, powinni pamiętać, że pokora jest wielką chrześcijańską cnotą, a pyszni nie trafią do nieba".

Mirosław Haponiuk

LISTY

APEL W SPRAWIE SZTANDARÓW

Jestem lekarzem zajmującym się amatorsko historią wojskowości II Rzeczypospolitej, a szczególnie wojennymi losami sztandarów pułkowych w kampanii wrześniowej 1939. Poprzez apele w prasie krajowej i polonijnej staram się dotrzeć do świadków wydarzeń sprzed lat. Mimo upływu 50 lat od Września, los wielu sztandarów jest nieznany, znany fragmentarycznie, często dysponujemy sprzecznymi ze sobą relacjami. Coraz mniej pozostaje żołnierzy kampanii wrześniowej, część rozjechała się po świecie, część zmarła. Ale nadal liczę na ich odzew! Przeto zwracam się z prośbą o zamieszczenie mojego apelu na łamach „Relacji", pisma, mam nadzieję, o dużym zasięgu. Drogi wielu sztandarów wiodły przez lub na Lubelszczyznę — może trafię na świadków ich schowania, zakopania? Prowadzę poszukiwania terenowe z wykrywaczem metali i wszelkie, nawet drobne informacje mogą się okazać bardzo cenne.

Poszukuję następujących osób:

z Pomorskiej BK

— *mogących dokładnie określić miejsce zakopania sztandaru 18 P. Uł. w rej. m. Grupa koło Grudziądza;*
— *znających losy sztandaru 11 DAK, przewożonego przez baterię zapasową kpt. Borowskiego od Mińska Maz. do okolic Kocka;*

z Suwalskiej BK

— *świadków zakopania w dniu 5.10.39 sztandaru 4 DAK w lesie koło wsi Wola Gułowska przez por. Józefa Rylskiego, ogn. Kuźmiskiego i plut. Siergiejewicza;*

z Wileńskiej BK

— *świadków zakopania sztandaru 4 P. Uł. w dniu 27.9.39 koło wsi Siedliska koło Medyki w obecności por. Załęskiego, ppor. Frankowskiego i chor. Jabłońskiego;*
— *świadków zakopania sztandaru 13 P. Uł. w dniu 28.9.39 przez por. Tadeusza Batorowicza, plut. L. Turka i kpt. Kazimierza Nawrockiego przy szosie Przemyśl — Lwów koło Medyki;*
— *świadków zakopania przez kpt. Stefana Sporschilla w dniu 19.9.39 sztandaru 3 DAK w okolicy Falenicy i jego ponownego ukrycia w czasie okupacji;*

z Krakowskiej BK

— *znających losy sztandarów 3 i 8 P. Uł. i 5 PSK, ewakuowanych przez mjr. Tadeusza Plackowskiego na wschód, ostatnio widzianego w łaziku na drodze z Brodów do Tłumacza;*
— *znających losy sztandaru 5 DAK, przechowywanego w OZ Artylerii Konnej Nr 2 w Zamościu;*

z Podolskiej BK

— *znających popowstaniowe losy sztandaru 6 P. Uł., przechowywanego w obrazie w mieszkaniu pp. Zaczków przy ul. Polnej 44 w Warszawie;*
— *świadków ukrycia przez kpt. Płodowskiego sztandaru 6 DAK w Warszawie przed kapitulacją;*

z Kresowej BK

— *świadków spalenia sztandaru 22 P. Uł. w dniu 9.9.39 w piwnicy gospodarstwa we wsi w rejonie Raszyn-Rybie przez ks. kapelana Ernesta Chowańca;*

z Wołyńskiej BK

— *znających losy sztandarów 19 i 21 P. Uł. i 2 PSK po przewiezieniu ich do garnizonów w sierpniu 1939;*
— *świadków zakopania sztandaru 2 DAK koło gajówki Konie na Lubelszczyźnie przez mjr. Jerzego Wieruszа-Kowalskiego;*

z Nowogródzkiej BK

— *świadków zakopania sztandaru 25 P. Uł. w lesie koło wsi Pnikut w dniu 28.9.39 przez płk. Stachlewskiego, rtm. Pilinkiewicza i por. Trzebińskiego;*

Dokończenie na str. 9

ŻONY SŁAWNYCH POLAKÓW

NATURALNOŚĆ I SZCZYPTA IDEALIZMU

Rozmowa z Danutą Wałęsową

PANI Danuta Wałęsa przyjmuje mnie w swoim domu w willowej dzielnicy Gdańska, przy długim, prostokątnym stole. Wałęsowie mieszkają tu dopiero od niespełna roku. To dobre miejsce. Gwarantuje większą anonimowość — dzielnica jest oazą spokoju, a kontakty z sąsiadami ograniczone. W szarym sweterku, z apaszką na szyi, z uśmiechem pełnym młodzieńczego uroku, pani Danuta stanowi jakby zaprzeczenie wizji polskiej kobiety, o której właśnie mówi (borykającej się z liczną rodziną, licznymi obowiązkami i licznymi trudnościami szarej egzystencji). A jednak tak siebie widzi: przede wszystkim jako kobietę — matkę. Tak zresztą widzi w ogóle życiowe powołanie swej płci. Jest przeciwniczką emancypacji, odrywającej kobiety od ich podstawowych funkcji.

Osobiste i wyłączne marzenie pani Danuty to pragnienie zwiedzania świata. Nie w tłumie, lecz tak normalnie, po turystycznemu — wędrowanie po różnych klimatach. Pragnienie z tej pierwszej, podstawowej dziedziny — to wychowanie dzieci na porządnych ludzi i dobrych obywateli Polski.

— Pierwszy etap naszego życia, do 1980 roku, był to okres normalnej egzystencji — mówi. — Ten czas wspominam jako lata prawdziwego, pełnego życia małżeńskiego. Wówczas istnieliśmy tylko dla siebie i dla dzieci. Był to dobry okres. Rok 80-ty zaś i sam strajk w sierpniu to już coś zupełnie wyjątkowego. Czy się wówczas bałam? Nie. Wspierała mnie nowa jakość międzyludzkich stosunków. Ludzie byli dla siebie dobrzy, pełni niezwykłego szacunku. Tę atmosferę otwarcia zapamiętam na zawsze. Osobiście doznałam w tym czasie dużo dobroci. To było coś pięknego — to zrozumienie i fakt, że nikt na nikogo nie patrzył wilkiem. Mąż nie pracował już od lutego i brakowało nam wielu produktów „kartkowych". Od początku strajku ludzie zaczęli mi bezinteresownie pomagać. Przynosili mi wszystko. Czułam się zażenowana, akceptując te dary, ale traktowałam je jak wyraz ich solidarności. Mieliśmy przecież sześcioro dzieci. Ten miesiąc spełnił część mojego ukrytego marzenia. Widzi pan, ja chciałabym, żeby wszyscy ludzie byli szczęśliwi, żeby dobrze się rozumieli. Czy jestem ideałistką? Być może, ale w życiu potrzeba szczypty idealizmu.

Pani Danuta nie myśli o historii ani o miejscu dla swojej rodziny w encyklopediach. („Może wtedy uderzyłaby mi do głowy woda sodowa" — zauważa ze śmiechem). Nie ma na to czasu. Podejrzewam jednak, że główna przyczyna tkwi w jej osobowości; w naturalnym i bezpośrednim sposobie bycia, którym ujmuje rozmówcę. Kiedy wchodzę, odkłada robótkę na drutach. „Dopiero ostatnio nauczyłam się w ten sposób odpoczywać" — mówi.

Pani Danuta przywędrowała na Wybrzeże spod Węgrowa. Pochodzi z chłopskiej, wielodzietnej rodziny. W domu było ich dziewięcioro. Po przybyciu do Gdańska znalazła pracę w jednej z kwiaciarni. Nie opodal wynajmował sublokatorski pokój Lech Wałęsa. Tak się poznali. Był rok 1968. To ich pierwsze spotkanie trudno nazwać miłością od pierwszego wejrzenia. „Ale w końcu przeżyłam z nim wielką miłość" — powie pani Danuta.

Na moją propozycję przedyskutowania jej losów godzi się tylko na ich ogólny zarys z powodu ograniczonego czasu, wyrwanego sztucznie z pracowitego dnia.

Pani Danuta nie lubi polityki. Interesuje się nią nie więcej niż każda przeciętna Polka. Uważa, że mąż nie nadaje się na polityka i że spotkało go jakieś życiowe nieporozumienie. Osobowość Lecha Wałęsy widzi jako coś skomplikowanego, tajemniczego, nieodgadnionego. Brak jednak w tym wszystkim elementów gry. Narzeka, że tak rzadko ma go przy sobie. Stąd wynika zresztą podział ich ról w rodzinie. Dziś, na przykład, wstała o piątej rano, by wyprawić męża do Warszawy, potem przygotować syna do szkoły, a z drugim pojechać do lekarza. I tak cały dzień. Stojąc kiedyś w kolejce po mięso, usłyszała ze zdziwieniem, że Wałęsowie na pewno nie martwią się o zakupy.

Powracamy jednak do wspomnień.

— Sam fakt wprowadzenia stanu wojennego nie zrobił na mnie większego wrażenia; nawet moment internowania męża. Byłam na to poniekąd przygotowana. Najgorsze stało się ponowne załamanie ludzkich postaw. Nagle wokół nas zrobiła się pustka, zapanowała cisza. To było przerażające. Oczywiście, kilku ludzi wspierało mnie w tym czasie. Na przykład dawny kierowca męża z „Solidarności". Największą otuchą napawał mnie fakt, iż w tym czasie byłam w ciąży. W styczniu urodziła się nam Maria Wiktoria. Tak więc ciężar stanu wojennego odczułam tak naprawdę dopiero po dwóch miesiącach. Napisałam wówczas podanie, by zwolniono męża na chrzciny. Myślałam, że prośba ta spotka się ze zrozumieniem. A jednak się zawiodłam. Było to wielkie rozczarowanie. Wówczas dotarła do mnie świadomość, jak bezsilny jest człowiek wobec świata polityki.

Pani Danuta nie odczuwa zażenowania bądź nieśmiałości, przyjmując w swoim domu „wielkich tego świata". Uważa, że to ludzie jak wszyscy inni. „Nie przeżywam tych chwil w jakiś szczególny sposób — mówi. — To tylko krótki odprysk wielkiego świata w małym codziennym życiu". (A gościła już przecież między innymi: Margaret Thatcher, Eltona Johna, Janc Fondę, Joan Baez).

Wielką galę w Oslo pamięta jednak dobrze.

— Sama nie spodziewałam się — wspomina — że dam sobie radę, że — a mogę to powiedzieć bez fałszywej skromności — wypadę tak dobrze. Wiem, że wielu ludzi pragnęło, by wszystko odbyło się jak najlepiej. Chcieli udowodnić, że kobieta polska — taka „kura domowa" jak ja — też potrafi coś pokazać. Czułam się dumna i zaszczycona. Czytając tamto przemówienie męża, widząc reakcję słuchających ludzi — doznałam niezwykłego wrażenia. Była to jakby wielka zapłata dla mnie za wszystkie te dni, gdy pozostawałam w cieniu męża. Wówczas zrealizowało się również coś z mojej kobiecej ambicji.

Pani Danuta twierdzi, iż żyje zwyczajnie i z dnia na dzień. Stara się nie patrzeć zbyt głęboko w przeszłość ani zbyt odlegle w przyszłość. Przeciwna jest drobiazgowej reglamentacji zdarzeń. „Życie jest takie, jakie jest — mówi. — Nie trzeba planować go w najdrobniejszych szczegółach. Byłby to najprostszy sposób na klęskę". W takiej postawie widzi siłę pomagającą jej przetrwać dramatyczne niespodzianki losu. Pani Danuta nie należy do osób „samoużalających się", rozczulających się nad każdym, najdrobniejszym problemem. Bawią ją „wychowawcze kłopoty" znajomych, obdarzonych jednym czy dwojgiem dzieci. Nie lubi jednak dorywczości ani pobieżnego traktowania obowiązków.

Uważa, że to trudne zadanie być żoną Lecha Wałęsy, choć przeżyła z nim wiele chwil, które z reguły ludzie utożsamiają ze szczęściem.

Notował: **Wiesław Horabik**

PLAGGE I KATLEWICZ

Teresa Księska

MARZEC w filharmonii lubelskiej przyniósł dwa koncerty najwyższej artystycznej miary: pierwszym okazał się recital fortepianowy 30-letniego pianisty z RFN, naszego „znajomego" z ostatniego Międzynarodowego Konkursu im. Fr. Chopina w Warszawie, Rolfa Plagge. Drugim był występ wspaniałego polskiego dyrygenta, Jerzego Katlewicza.

Wcześniej, 3 i 4 marca koncertowała Kaja Danczowska, która wraz z lubelskimi filharmonikami pod wodzą Jana Pruszaka (w zastępstwie oczekiwanego Michaela Zilma) wykonała op. 64 F. Mendelssohna. Grała z właściwym sobie „charakterem" i skutecznością instrumentalną.

Rolf Plagge zbudował swój recital z trzech wielkich form: Sonaty D-Dur KV 576 W. A. Mozarta, Sonaty E-Dur op. 106 L. van Beethovena i Sonaty h-moll F. Liszta. Tych, którzy podziwiali go przed blisko czterema laty, zaskoczył nową poetyką gry, innych — oczarował. Pianistyka Rolfa Plagge jest wszechstronna; składają się nań zarówno elementy typowo wirtuozowskie, jak i sonorystyczno-dynamiczne. Ale bodaj najważniejszą jest owa szczególna osobista nuta, pobrzmiewająca w każdym z podjętych zadań; interpretacja — w najpełniejszym znaczeniu tego słowa Myślę też, że to właśnie ta cecha gry niemieckiego artysty zdecydowała o przyznaniu mu przez międzynarodowe jury III nagrody w arcytrudnym Konkursie im. Królowej Elżbiety Belgijskiej w Brukseli. Pianistów sprawnych, grających szybko i perfekcyjnie jest dużo i stale ich przybywa, indywidualności natomiast pojawiają się jak marcowe śniegi.

Ograniczona dyrektorską powinnością, w drugim tygodniu marca śledziłam ogólnopolskie zmagania młodzieży szkół muzycznych klas skrzypiec i altówek w Elblągu. Tymczasem w filharmonii lubelskiej wystąpili: Ewa Werner — sopran, Piotr Łykowski — kontratenor, Włodzimierz Wiesztordt — fortepian i orkiestra pod dyrekcją Ryszarda Komorowskiego. Koncertu oczywiście nie słyszałam, ale sądzę, że warto pamiętać, iż w programie po raz pierwszy w Lublinie wykonano dzieło artysty wywodzącego się z naszego środowiska, Mariusza Dubaja — CANTI MOVIMENTI na fortepian i smyczki — a fakt ten bardzo życzliwie przyjęła zarówno publiczność, jak i zawodowcy.

M. Dubaj ukończył z wyróżnieniem Akademię Muzyczną w Gdańsku, na wydziałach teorii i kompozycji. Ponadto jest laureatem ogólnopolskich konkursów kompozytorskich.

Solistką w koncercie prowadzonym przez Jerzego Katlewicza, była pianistka polska, od lat zamieszkała we Francji, Ewa Osińska. Popisowym numerem artystki stał się Koncert fortepianowy a-moll op. 54 R. Schumanna. Wspaniała zielona suknia, niezwykłej urody materiał i... dziwny chłód pianistycznej materii.

Jerzy Katlewicz zachwycił wszystkich! Uwertura do WŁOSZKI W ALGIERZE, G. Rossiniego, lekka, zwiewna i powabna okazała się w istocie tylko zaproszeniem do wielkiej uczty. To, co przyniosła V SYMFONIA C-MOLL op. 67 L. van Beethovena, porównać można do erupcji wulkanu — tego doprawdy nie da się opisać! Wielka muzyka, o niebywałej ekspresji, wciąż zadziwiające beethovenowskie przesłanie: człowiek jest wielki tak w bólu, jak i w dążeniu do szczęścia.

Recital Bohdana Giergiela z towarzyszącą przy fortepianie Teresą Księską zgromadził spore grono entuzjastów gry znanego skrzypka. Program wieczoru wypełniły cztery sonaty: dwie Beehovena, Leclaira i Tartiniego. Cóż Panie Bohdanie, recen ji oczywiście być nie może, ale na pewno wolno mi podziękować Panu za wspólne wzruszenia.

„JEŻELI CHCEMY BUDOWAĆ POLSKĘ, TO NIE MOŻEMY MIEĆ JEDNEGO WAŁĘSY"

Z KONIECZNOŚCI STAŁEM SIĘ POLITYKIEM

Rozmowa z Lechem Wałęsą

— Pluralizm to ostatnio modne w Polsce słowo. Jak pan sobie wyobraża pluralizm, czym on powinien się charakteryzować, bowiem w naszej rzeczywistości i naszej propagandzie istnieją różne pojęcia pluralizmu?

— Odpowiem panu na to pytanie bardzo krótko, pomimo że temat jest dość szeroki. Nie chcę rozwlekać swoich wypowiedzi, ponieważ jestem praktykiem, a nie teoretykiem. Teoretykowi może pan zadawać różne pytania i zbierać różne odpowiedzi. Mój pluralizm polega na chęci organizowania się. Uważam, że mamy do tego prawo. Jest tylko jeden warunek: wszyscy muszą mieścić się w granicach prawa, które dzisiaj trzeba poprawić.

— Wiadomo mi, że posiada pan teraz wielu przeciwników. Jak pan sądzi, skąd się wzięli, dlaczego ci ludzie od pana się odsunęli lub do pana nie przystąpili?

— Mam mniej przeciwników, niż pan przypuszcza. Przejechałem już jedną trzecią kraju; mam nadzieję, że niebawem uda mi się przejechać dalsze dwie trzecie. Podczas swoich podróży zauważyłem, że ludzie są mi bardzo przychylni, że chcą ze mną działać, tworzyć pluralizm. Tylko w Gdańsku, zgodnie z teorią, że „prorocy mają najgorzej we własnym kraju", trafiła mi się garstka „ludków", którzy wyrobili sobie kontakty — często przy mnie — i stawiają różne życzenia. Powtarzam: różne, nie zawsze, lecz często polityczne. Ale powiem panu szczerze, nigdy nie miałem tak niewielu przeciwników jak obecnie.

— No dobrze, jak skomentowałby pan zatem niedawne zajścia u wrót kościoła św. Brygidy w Gdańsku, po mszy świętej, gdzie młodzież krzyczała: „Precz z Wałęsą i księdzem Jankowskim!".

— Źle pan słyszał. To nieprawda, tak nie było, mogę pożyczyć panu nagraną taśmę z tamtego wydarzenia, gdzie sytuacja miała zupełnie inne oblicze. Dowiedziałem się od moich ludzi, że przed kościołem jest grupa młodych ludzi w tłumie, którzy mają petardy i śrubki. Przeraziłem się, że rzucą w tłum, i bez chwili namysłu zareagowałem. Podszedłem do grupki i mówię: „Słuchajcie, jeżeli ktoś z was zrobi mi zadymę, to biada mu"... Jeden z tych chłopców, właśnie ten, który miał petardy, spanikował. To normalne zjawisko, bowiem w każdym młodym człowieku występują skłonności do panikowania, często wyzwalają się emocje w samoobronie i ze strachu krzyczy. Tak było też w tym przypadku. Osobiście nie reagowałem, dałem mu się wypowiedzieć, trwało to nie dłużej jak pół minuty, potem rzekłem: „Chłopcze, spójrz, nikogo przy tobie nie ma, zostałeś sam, jak ty wyglądasz...". On się zaczerwienił i po chwili oddalił. Ale ktoś z moich przyjaciół przekręcił informację, podał ją do radia zachodniego, a potem przyszła do kraju informacja, że tysiące ludzi wygwizdało Lecha Wałęsę.

— Nie sądzi pan, że dzisiejsze polskie społeczeństwo jest bardzo rozproszone ideowo, emocjonalnie i duchowo, że z takimi ludźmi trudno przystąpić do konstruktywnego działania?

— Tak, to prawda. Jedyną naszą szansą na powstałą sytuację jest stworzyć możliwości, ażeby każdy mógł się organizować, aby nikt nie mógł powiedzieć, że nie ma w Polsce możliwości normalnej egzystencji. Jeżeli stworzymy warunki swobody w organizowaniu się, spełnimy wszystkie możliwości, to złe argumenty odpadną i ludzie uwierzą w siebie, w rzeczywistość — zobaczą przysłowiowe światełko w tunelu, wezmą się do pracy, zrozumieją, że ona ma sens. Nie ma innej drogi wyjścia z sytuacji, w której znalazł się nasz kraj.

— „Okrągły stół" obradował, a liczni Polacy strajkowali. Co pan o tym sądzi?

— Każdy z Polaków posiada uzasadnione powody do strajku. Uważam jednak, że w obecnej sytuacji nie możemy pozwolić sobie na strajki, bowiem świat goni do przodu... Jak będziemy się szarpać, to efekt będzie negatywny — będziemy się oddalali, osłabimy jeszcze bardziej tkankę organizmu gospodarczego, będziemy zapleczem dla Europy. Potrzebne jest nam dzisiaj porozumienie. Zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

— Dzisiejsza młodzież polska jest bardzo emocjonalna... Czy zgadza się pan ze wszystkimi dążeniami ludzi młodych?

— Musimy tutaj rozgraniczyć młodzież na studencką, szkół średnich, młodzież pracującą i niepracującą. Często stykam się z różną młodzieżą i z doświadczenia wiem, że każda jest inna, każda inaczej patrzy na rzeczywistość, każda posiada inne doznania.

— „Chodzi" na temat pana bardzo wiele plotek. Są tacy, którzy zdecydowanie twierdzą, że Lech Wałęsa, ten dzisiejszy i sprzed siedmiu lat, to nie ten sam człowiek, że tamtemu można było zaufać, a dzisiejszy niestety, nie budzi zaufania; słowem, że bardzo zmienił się pan ideowo...

— Ależ kto takie sądy na mój temat wypowiada?! Siedem lat temu byłem jedynie człowiekiem protestu — przeciw sytuacji bytowej, uwarunkowaniom społecznym. Dzisiaj z konieczności stałem się politykiem — także sama sytuacja zmieniła barwę na kolor typowo polityczny. Przybyło mi obowiązków myślenia, kalkulowania, ażeby „wyjść na swoje", żeby nie dać „wpuścić się w maliny". Aktualność sytuacji zmusza mnie, ażebym wiedział dużo więcej niż siedem lat temu. Niestety, ludzie często nie rozumieją tych kwestii, a im bardziej nie rozumieją, tym bardziej staję się dla nich obcy. W 1983 rok zebrałem ludzi o podobnym stanowisku ideologicznym, będących w danej chwili pod „moją ręką", i wspólnie wybraliśmy koncepcję dalszego działania. Decyzją naszą nie było, ażeby odbudować rok 1981, lecz zdecydowanie postawiliśmy na pluralizm, nawet w naszym ruchu.

— W jednym z wywiadów powiedział pan, że nie ufa rządowi i nikomu. Czy obawia się pan, że wśród pana współpracowników może być ktoś, kto będzie chciał „wpuścić pana w maliny..."? Czy też jest pan z zasady człowiekiem nieufnym wobec ludzi?

— Mało tego, że jestem nieufny wobec innych, to bezustannie ostrzegam: nie wierzcie Wałęsie! Nie wolno mi wierzyć. Wierzyć trzeba w siebie, w struktury, które budujecie, o które Wałęsa walczy. Ale, powtarzam, nie wierzcie cwaniakom, między innymi Lechowi Wałęsie.

— W takim razie nie jest pan zdolny prowadzić konstruktywnej walki w całkowitym zjednoczeniu?

— Oczywiście, że jestem zdolny prowadzić taką walkę, ale musimy sobie zdać też sprawę, że nasz kraj ma zaległości demokratyczne i pluralistyczne. Jeżeli chcemy budować Polskę, to nie możemy mieć jednego Wałęsy. Często zwracam się do społeczeństwa i mówię, że każdy z nich jest Wałęsą. To jest właśnie pluralizm.

— Jest pan działaczem politycznym już osiemnaście lat. Jakie wnioski nasuwają się panu z perspektywy tego czasu?

— Uważam, że w życiu będziemy wciąż walczyć. Raz będą większe koszty po stronie społecznej, raz po rządowej. Zawsze będzie musiał ktoś zapłacić, ustąpić. Długą drogę przez te osiemnaście lat działalności przeszedłem. Zdaję sobie sprawę, że w przyszłości ludzie będą mnie, i nie tylko mnie, poprawiać, udoskonalać to, co zrobiłem, bowiem takie jest życie, takie są niedoskonałości naszej egzystencji. Trzeba się wciąż doskonalić. Ale wywalczyliśmy już dużo. Nie mówię tylko o okresie swojej działalności, bowiem były różne sytuacje, zdarzenia, okoliczności. Dzisiaj, po tej „harówie", dochodzimy do pluralizmu. Warto było!...

— Kiedyś oznajmił pan, że chciałby być dobrym politykiem, ale że to się panu chyba nie uda. Biorąc pod uwagę liczne trudności, które przerodziły się w doświadczenia życiowe, nasuwa się pytanie — dlaczego?

— Nie chcę być politykiem — dobrym czy złym. Jestem nim z konieczności. Uważam, że ludzie muszą jednak uczyć się polityki, mają ułatwioną sytuację po ukończeniu szkół wyższych, bowiem jest im łatwiej wysławiać się, formułować zdania tak, jakby „żywcem" wyjmowali je z książki, a to zasadnicza cecha jakości polityka. Trzeba potrafić dotrzeć do ludzi. Jestem politykiem-samoukiem, sam muszę uczyć się formułować zdania, potem, gdy sprawdzam w książce, zauważam, że też jest tak napisane. Ale o ile jest mi trudniej! Zapewniam pana, że kosztuje mnie to bardzo dużo energii. Nigdy nie chciałem być tym, kim jestem: to życie zrobiło mi na złość. Osiemnaście najpiękniejszych lat swojego życia oddałem dla idei. Teraz chciałbym odpocząć, poczuć, że żyję. Chcę doprowadzić do pluralizmu, oddać go w dobre pluralistyczne ręce. Jeśli będzie ktoś zagrażał, będzie chciał zniszczyć to, co w pocie czoła budowaliśmy przez lata, będę się włączał, jeśli nie, to odsuwam się i idę na rybki.

— Mówił pan też, że wielu ludzi chce z panem współpracować, bardziej niż pan z nimi, że wielu ludzi do pana się zgłasza, a pan ich nie przyjmuje — dlaczego?

— Z różnych względów. Wielu z tych ludzi kiedyś odeszło ode mnie — często ze strachu, często z braku dostatecznego wynagrodzenia. Inni natomiast zbyt daleko mieszkają. Nie mogę związać się z kimś, kto mieszka w Szczecinie, bo się nigdy z nim nie dogadam, nic wspólnie nie zrobimy. A z doświadczenia wiem, że jak kogoś takiego nie wezmę, to będzie mi zarzucał brak demokracji. I tak ciągle „między młotem a kowadłem". Staram się wszystko robić jak najskuteczniej i demokratycznie. Dlatego nie budowałem struktur, nie obstawiałem się ludźmi, często wspaniałymi, ale którzy nie pokrywali się z moją skutecznością i którzy, jak już mówiłem, później różnie interpretowali moje poczynania.

— Co pan sądzi o roli Kościoła w życiu politycznym Polski? Czy Kościół powinien uczestniczyć w tego typu przedsięwzięciach?

— Nie, nie. Kościół nie chciał nigdy i nadal nie chce uczestniczyć w działalności politycznej. Wypowiada się jedynie o moralności, zachowaniach społecznych, o pewnych odejściach od podstawowej normy, które wychodzą poza tolerancję. Kościół zdaje sobie doskonale sprawę ze swoich przedsięwzięć — jest dużo mądrzejszy od nas wszystkich. Jestem pewien, że nie będzie brał udziału w dziedzinach nie przynależnych mu. Nie należy mieszać Kościoła do sprawy polityki. On sam sobie nawet tego nie życzy.

— Kiedyś powiedział mi pan, że jest szczęśliwy, ale w tym sensie, że idzie do szczęśliwości — już niebawem. Czy wróży pan sobie krótkie życie, czy też czegoś pan się obawia?

— Wyrok śmierci, który ostatnio otrzymałem, przewidziany był na 28 lutego... Niczego się nie boję, wszystko odbędzie się na zasadzie: co mi jest przypisane.

Rozmawiał:
Bogdan Kuncewicz

LISTY

Dokończenie na str. 8

— *świadków spalenia sztandaru i zakopania orła 26 P. Ul. w dniu 25.9.39 we wsi Gąsów koło Chotyni w rej. Garwolina przez st. wachm. Popiela i plut. Józefa Sokołowskiego;*
— *znających losy sztandaru 27 P. Ul., niesionego w dniu 28.9.39 w kierunku Rumunii z okolic Mościsk przez ppor. Kalinowskiego (Kalino) wraz z wachm. Howorko, por. Siebielecem i st. wachm. Nurkiewiczem;*
— *znających losy sztandaru 4 PSK, przewożonego w plecaku przez st. wachm. Wiercińskiego i kpr. Cichockiego w okolicy Jacni na Roztoczu do chwili rozbrojenia koło Lubaczowa lub przenoszonego przez wachm. Krystyniaka w okolicach Janowa Lubelskiego;*
— *świadków zakopania lub spalenia sztandaru 9 DAK w rej. wsi Dominikanówka na Roztoczu w dniu 25.9.39 przez por. por. Grocholskiego, Brzozowskiego, Psarskiego i Zaporskiego;*

z Warszawskiej Brygady Pancerno-Motorowej

— *znających losy sztandaru 1 PSK, wiezionego w szwadronie rozpoznawczym w czasie bitwy pod Suchowolą, później w rękach por. Antoniego Bądzyńskiego w lesie w okolicy wsi Zielone i Zamiany.*

Ponadto poszukuję osób znających wojenne losy rtm. Leopolda Baranowskiego z 22 P. Ul., w kampanii wrześniowej oficera transportowego Wołyńskiego BK, eskortującego na dwóch samochodach, z wachmistrzem i pięcioma ułanami, skarbiec Centrum Wyszkolenia Kawalerii z Garwolina w kierunku na Łuków. Rtm. Baranowski zmarł przed 10 laty w Londynie.

Poszukiwane sztandary:

pułków piechoty

24 pp z Łucka, 29 pp z Kalisza, 65 pp z Grudziądza, 3 p strz. podh.;

artylerii

4 pal z Inowrocławia, 5 pal ze Lwowa, 7 pal z Częstochowy, 9 pal z Białej Podlaskiej, 11 pal ze Stanisławowa, 21 pal z Bielska, 24 pal z Jarosławia, 30 pal z Brześcia, 31 pal z Torunia, 32 dal z Rembertowa, 33 dal z Wilna, 1 pac z Modlina, 3 pac z Wilna, 6 pac ze Lwowa, 3 dap-lot z Wilna, 8 dap-lot z Torunia;

saperów

5 baon sap z Krakowa, 7 baon sap z Poznania, baon silnikowy z Modlina, baon mostowy z Kazunia, baon elektrotechniczny z Nowego Dworu;

wojsk pancernych

7 baon panc z Grodna, 8 baon panc z Bydgoszczy, 1 dyon pociągów panc z Legionowa;

jednostek szkolnych

szkoła podchor. dla podoficerów z Bydgoszczy, szkoła podchor. piechoty z Ostrowi-Komorowa, szkoła podchor. lotnictwa z Dęblina, baon szkolny z Centrum Wyszk. Żandarmerii z Grudziądza;

innych

Oddział Zamkowy Prezydenta RP z Warszawy.

Sztandary znajdujące się w muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie, o których wojennych losach brak danych: 34 pp z Białej Podlaskiej, 48 pp ze Stanisławowa, 1 pan z Góry Kalwarii, 2 daplot z Grodna, 5 daplot z Krakowa, 6 daplot ze Lwowa, 8 baon sap z Torunia.

Sztandary znajdujące się w muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, o których wojennych losach brak danych: 12 pal ze Złoczewa, 1 pap-lot z Warszawy, 7 dyon, art. p-lot z Poznania.

Sztandary zaginione po wojnie w kraju: 27 pp z Częstochowy — zaginiony w Częstochowie, 28 pp z Łodzi — zaginiony w Łodzi, 15 pal z Bydgoszczy — zaginiony w Bydgoszczy.

SKRÓTY: pp — pułk piechoty, pal — pułk aryterii lekkiej, dal — dywizjon artylerii lekkiej, pac — pułk artylerii ciężkiej, pan — pułk artylerii najcięższej, dap-lot — dywizjon artylerii przeciwlotniczej, paplot — pułk artylerii przeciwlotniczej.

Włodzimierz Kuźma
ul. Sonaty 6 m. 902,
02-744 Warszawa

ZAWÓD: DYPLOMATA

Rozmowa z dr. Włodzimierzem Gierłowskim, dyrektorem Centrum Kształcenia Służby Zagranicznej ANS w Warszawie

— Panie dyrektorze, kieruje pan placówką o dość tajemniczej nazwie. A w każdym razie, u osób postronnych, wywołującej dreszcz emocji. Kojarzy się ona z wielkim światem, dyplomacją, wyjazdami zagranicznymi, konferencjami, koktajlami, frakami, smokingami, eleganckimi kobietami, limuzynami, homarami, krewetkami, drogimi trunkami. Po prostu innym życiem niż szara rzeczywistość w kraju. Ma pan tego świadomość?

— Mam, chociaż w zdecydowanej większości są to wszystko wyobrażenie odległe od rzeczywistości. Takie trochę z cyklu, jak sobie mały Kazio wyobraża dyplomację.

— Być może. Przyzna pan jednak, że jest to także skutek zupełnego niemal braku informacji o służbie zagranicznej, które płynęłyby do ludzi w innej formie niż komunikaty z telewizora, że ktoś się spotkał, kogoś zaproszono, ktoś coś złożył, ktoś wygłosił toast itd. Jeszcze niedawno w ogóle rozmowa z wyższym urzędnikiem MSZ na użytek prasy była dużym wyczynem...

— Polityka informacyjna rządu uległa zmianie, co jest chyba widoczne. Dotyczy to także resortu spraw zagranicznych. Jednym z faktów potwierdzających to jest chociażby powołanie rzecznika prasowego MSZ, obecność pracowników resortu w programach telewizyjnych, radiowych czy nawet nasza dzisiejsza rozmowa. Nawiasem mówiąc, „Relacje" są pierwszym tytułem, z którym rozmawiam.

— W jaki sposób trafia się do dyplomacji?

— W sposób selekcyjny.

— Rozumiem, że będzie także o kryteriach tej selekcji.

— Wszędzie w świecie wygląda to dość podobnie. Do służby zagranicznej trafiają albo zawodowcy, albo ludzie delegowani do tej roli z racji politycznych. Na przykład dla podkreślenia szczególnej rangi stosunków z danym krajem. Wówczas misję pełni ktoś, kto nie jest zawodowym dyplomatą.

— A, powiedzmy, generałem.

— Też. Wymieniłbym jednak przedtem członków rządu, ministrów, działaczy politycznych, gospodarczych, twórców kultury, uczonych. Naturalnie osoby te przechodzą specjalistyczne przeszkolenie.

— Edmund Jan Osmańczyk, poseł poprzedniej kadencji, dość dosadnie określił naszą dyplomację, jako „śmietnik historii najnowszej". Miał zapewne na myśli praktykę kierowania na placówki figur, które spadły z polskiej szachownicy politycznej i to niekoniecznie w chwale. Czy dostrzega pan jakiś związek tej opinii z rzeczywistością?

— Pomijając, że oczekuje pan ode mnie oceny polityki kadrowej resortu, którego jestem pracownikiem, powiedziałbym, że kwestia ta zależy od sumy delegacji politycznych. Niekiedy te delegacje bywają bardziej decydujące niż potrzeba wykorzystania kandydata.

— Dziękuję za dyplomatyczną odpowiedź. Rzecz jest jednak i w tym, że poprzez tę „sumę delegacji" bywa oceniany także nasz kraj. Osobiście wolałbym, aby jego reprezentantami byli ludzie o „mniejszych" nazwiskach, ale biegle władający językami i potrafiący formułować w nich myśli. Czy pan wie, że po pierwszej wizycie polskiego ministra spraw zagranicznych Tadeusza Olechowskiego w USA, latem ubiegłego roku komentatorzy tamtejszej sceny politycznej najbardziej byli zaskoczeni tym, że jest to pierwszy szef dyplomacji kraju socjalistycznego, który w USA potrafił obywać się bez tłumacza.

— Naturalnie komplement pod adresem mego szefa jest tyleż miły, co w pełni zasadny. Szef naszej dyplomacji jest zawodowcem o długoletnim stażu w służbie zagranicznej. Potwierdzam również i tę opinię, że kompetencja w sprawach kraju misji oraz znajomość języka tego kraju w znakomity sposób ułatwia pracę i buduje pozycję dyplomaty. Nie zawsze jednak opanowanie języka jest sprawą prostą, jak chociażby w przypadkach języków azjatyckich, afrykańskich.

— Na przykład chińskiego?

— Japońskiego, koreańskiego, wietnamskiego, perskiego, tamilskiego, urdu, swahili, malajskiego i tak dalej. Listę można by ciągnąć. Uprzedzając, być może, pańskie pytanie, powiem, że mamy w naszym resorcie pracowników, którzy je znają.

— Panie doktorze, czy byłoby możliwe sformułowanie katalogu cech wymaganych od dobrego dyplomaty? Jakich? Pomijam obiegowo funkcjonującą „opinię", że w tym fachu najważniejsze jest zdrowie i mocna głowa.

— Oczywiście takie próby są czynione. Robią to dyplomacje wielu krajów oraz uczelnie prowadzące kierunki służby zagranicznej. Jest grupa cech, wymagań i predyspozycji, co do których panuje w świecie zgodność, iż rzeczywiście mają zasadniczy wpływ na jakość pracy dyplomaty. Według mnie taki katalog mógłby wyglądać następująco.

1. Walory postawy i charakteru. Dyplomata musi oczywiście akceptować rację stanu swego państwa oraz jego polityczne pryncypia, będąc przy tym człowiekiem prawym, rzetelnym i — jak mawiał prof. Kotarbiński — spolegliwym.

2. Inteligencja. Chodzi tu przede wszystkim o zdolności szybkiego przetwarzania informacji, łączenia ich, analizowania, syntezy. Wiążą się z tym ściśle predyspozycje pamięciowe.

3. Wykształcenie. Dyplomata powinien posiadać nie tylko wyższe studia, ale także szeroką wiedzę o świecie w połączeniu z ponadprzeciętną erudycją.

4. Znajomość języków. Powinna występować w aktywnej formie. Pracownik dyplomacji powinien umieć polemizować, artykułować się na piśmie, znać podglebie kulturowe języka (przenośnie, idiomy, zwroty potoczne, przysłowia, określenia środowiskowe, towarzyskie, orientacja w literaturze).

5. Kondycja fizyczna. Ta winna być nienaganna, zważywszy praktycznie nienormowany czas pracy, warunki klimatyczne (często bardzo ciężkie), zmieniające się strefy czasowe itp.

6. Umiejętności praktyczne. Te powinny obejmować m.in. znakomite prowadzenie samochodu, maszynopisanie, obsługę teleksu, komputera, fotografowanie.

7. Ustabilizowane życie osobiste. Nie odkryję Ameryki, gdy powiem, że naczej trudno jest — powiedzmy — ambasadorowi dzielić swój czas pomiędzy dyplomację, a zajmowanie się niewiernością żony, narkomanią córki i skłonnością syna do hazardu.

8. Szerokie zainteresowania i atrakcyjność towarzyska. Dyplomata powinien brać udział w życiu towarzyskim. Mam tu na myśli aktywność, budującą „image" kraju pochodzenia dyplomaty, z jednej strony, i kompetencję w sprawach kraju misji, z drugiej.

9. Umiejętność nawiązywania kontaktu i pozostawania w dialogu. Wiąże się to z tym co wyżej. Trudno sobie zakładać, że dyplomata będzie miał opory z podejściem do kogoś na przyjęciu, przedstawieniem się i zainteresowaniem go rozmową. Do tego dodałbym również aktywność informacyjną, czyli stałe dostarczanie rozmówcom informacji o kraju pochodzenia. Oczywiście mówimy tu o sytuacjach towarzyskich. Jeżeli zatem na koktajlu mam z kimś rozmawiać o samochodach lub pogodzie, pożyteczniej będzie, gdy powiem mu o chociażby polskich laureatach Nagrody Nobla albo o krainach geograficznych naszego kraju.

10. Wygląd zewnętrzny. Dyplomata powinien być przede wszystkim sympatyczny i tak odbierany, elegancki, dobrze, żeby również przystojny. Składa się na to także znajomość etykiedy (gdzie i jak się ubrać), savoir-vivre'u.

11. Dokładność, staranność, punktualność. Te cechy są w dyplomacji czymś tak oczywistym jak wschód i zachód słońca. Ktoś, kto ich nie ma, po prostu nie nadaje się do tej roboty.

12. Odwaga osobista. Powinna polegać na braku kompleksów związanych np. z wielkością i potencjałem kraju pochodzenia, osiągnięciami czy innymi wznacznikami sytuacyjnymi, gdy trzeba tę odwagę okazać. Nie należy jednak pojmować odwagi, jako braku rozwagi. W niektórych okolicznościach odwaga może być pojmowana dosłownie. Taką odwagę okazał ostatnio dyplomata węgierski, konsul generalny Węgier w Pradze, który za zwolnienie pasażerów przez porywaczy samolotu zaoferował w zamian swoją osobę. I co zresztą zostało przyjęte.

13. Odporność psychiczna. Ten czynnik również powinien wyróżniać pracowników służby zagranicznej, bo pracy towarzyszą różne stresy wynikające np. z charakteru stosunków wzajemnych kraju pochodzenia i kraju misji, warunków pracy, lokalnych zwyczajów i tradycji.

Oczywiście zbiory walorów niezbędnych czy koniecznych dyplomacie mogą być budowane w innych konfiguracjach i według różnych kryteriów niż ta moja propozycja.

— Wysłuchałem jej zresztą jak szkicu scenariusza do filmu o jakichś supermanach, Bondach. Czy jest w ogóle możliwe wyprodukowanie kogoś o tak wysokiej sumie umiejętności? Przecież wiele wspomnianych tu cech kształtuje się już we wczesnym dzieciństwie!

— Dochodzimy do sedna. Nikt nie ma wypisanych na czole wszystkich cech osobowości i charakteru. Pozostaje więc albo odpowiednio wczesna ingerencja w kształtowanie pożądanych walorów, albo dokładna selekcja wśród ludzi już życiowo ukształtowanych. Czy pan sobie wyobraża nabór na uczelnię, która by przyjmowała kandydatów bezpośrednio po liceum? Ilu by ich było na jedno miejsce? Stu? Dwustu? Jakie mechanizmy protekcyjne zostałyby uruchomione, aby powpychać tam dzieci? Stąd wydaje się korzystniejsze i rozważniejsze przyjęcie systemu szkolenia podyplomowego. Zresztą Polska nie jest tu jakaś pecjalnie oryginalna. Podobnie jest w RFN, Austrii, Francji, USA czy ZSRR. Oczywiście na Zachodzie działają kierunki studiów uniwersytetkich (służby zagraniczne), ale po pierwsze — nie oznacza to, że każdy, kto takie studia ukończy, idzie do dyplomacji, a po drugie, aby do niej trafić (nawet po takich studiach!), przechodzi się szkolenie specjalistyczne, resortowe.

Jak by patrzeć, wszędzie w świecie wymagania są wysokie i proporcjonalne do skali niełatwych zadań i niełatwego sposobu zdobywania kwalifikacji.

— Pomówmy w takim razie, jak się je zdobywa u nas?

— Kwalifikacje zdobywa się w Centrum Kształcenia Służby Zagranicznej ANS. Korzystamy także ze znanego Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), ale — jak sądzę — bardziej interesuje pana Centrum. W jego ramach działają trzy studia: Studium Służby Zagranicznej, Studium Dziennikarskie i Studium Stosunków Wielostronnych. Na pierwszym z nich zajęcia mają charakter stacjonarny i trwają dwa semestry. Są bardzo intensywne. Oprócz przedmiotów związanych bezpośrednio ze służbą zagraniczną, bardzo rozbudowana jest praktyczna nauka języków obcych. Zapewne interesująca może się wydać forma naboru. Słuchacze są delegowani przez instytucje centralne, a także przez partię i stronnictwa. Pewien odsetek to ludzie bezpartyjni. Zwykle kandydaci mieli już styczność z pracą za granicą, zwykle nieźle mają opanowany jeden z języków zachodnioeuropejskich, z reguły są to ludzie przed czterdziestym rokiem życia, 32—36-letni. Mogę powiedzieć z pełnym przekonaniem, że w obecnym cyklu kształcenia mamy wielu bardzo interesujących, zdolnych słuchaczy, z których powinna być pociecha.

Drugą formą kształcenia, wprowadzoną przed niespełna rokiem, jest Studium Dziennikarskie, mające przygotowywać do pracy za granicą w charakterze korespondentów czy attaché prasowych oraz w ogóle do swobodnego i skutecznego wykonywania zawodu poza granicami przy okazji krótszych wyjazdów. Zajęcia odbywają się systemem zaocznym, na comiesięcznych pięciodniowych sesjach. Dziennikarze poznają współczesne systemy komunikacji masowej, polityczne stosunki międzynarodowe, prawo międzynarodowe, międzynarodowe stosunki gospodarcze. Mają także zajęcia praktyczne, językowe, panele i dyskusje ze znanymi specjalistami problematyki międzynarodowej. Studium liczy 50 osób, w tym duża część to dziennikarze pozastołeczni.

I trzecie — Studium Stosunków Wielostronnych, na którym kształci się 60 słuchaczy z rozmaitych instytucji i organizacji mających powiązania i styczność z organizacjami i konferencjami międzynarodowymi (np. agendami ONZ). Chodzi o to, że Polska funkcjonuje w systemie wielostronnych powiązań międzynarodowych, nie wiążących się bezpośrednio z dyplomacją, a które wymagają obsługi fachowej i kompetentnej. Temu ma służyć to studium. Jest to również nowa forma kształcenia.

— Czy jest pan zadowolony z dotychczasowych wyników Centrum?

— Staramy się stale ulepszać funkcjonowanie Centrum. Chodzi o zapewnienie wysoko wykwalifikowanej kadry wykładowców, o stworzenie praktycznej możliwości weryfikowania zdobywanej wiedzy, a także ulepszanie systemu selekcyjnego przy naborze. Już dziś widzimy konieczność bardziej wszechstronnych sprawdzianów i testów przy przyjmowaniu słuchaczy. Krótko mówiąc, system kształcenia jest stale modyfikowany.

— Co się dzieje z absolwentami Centrum? Od razu pakują walizki i wyjeżdżają za granicę?

— Ustalmy jedno: nasza placówka nikogo nie deleguje za granicę. Zajmuje się jedynie przygotowywaniem do podjęcia pracy w szeroko rozumianej sferze stosunków międzynarodowych. Ktoś, kto kończy konkretne studium, po zdaniu egzaminów (w tym państwowego z języka obcego), po obronie pracy dyplomowej ma określone kwalifikacje. Czy, przez kogo i jak one zostaną wykorzystane, jest już zupełnie inną kwestią. Na przykład absolwenci Studium Służby Zagranicznej mogą w dużej części trafić na stałe praktyczne w MSZ i resorcie współpracy gospodarczej z zagranicą, co jest następnym etapem edukacji. To, jak będą pożytkowane kwalifikacje absolwentów Studium Dziennikarskiego i Studium Stosunków Wielostronnych, zależy przede wszystkim od delegujących ich redakcji prasy, radia i TV, czy instytucji i organizacji.

Z mojego doświadczenia (a jestem w służbie zagranicznej już 25 lat) wynika jednak, że decydujące znaczenie dla losów potencjalnego pracownika służby zagranicznej ma pierwsze praktyczne sprawdzenie się w warunkach placówki. Taka weryfikacja następuje bardzo szybko i po niedługim czasie wiadomo, czy ktoś się nadaje do tej pracy, czy — nie. Często bywa, że przodujący słuchacze nie bardzo potrafią przełożyć posiadaną wiedzę na praktykę, a wcale nie ci najlepsi okazują się skutecznymi dyplomatami.

— Nie wystarczy zatem wiedzieć z wykładów, jak się je ostrygi i kiedy trzeba ubrać frak, ale także wiedzieć, co robić, gdy się już jest w tym fraku gdzieś daleko, na bardzo ważnym przyjęciu i akurat je ostrygi podadzą.

— Mniej więcej. Choć samo skojarzenie tych sytuacji jest nader abstrakcyjne i w zasadzie nie bardzo wiem, w jakim kraju mogłoby się wydarzyć. Mam na myśli oczywiście pragmatykę dyplomatyczną.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki

SZKOLNA PROFILAKTYKA NIE SPEŁNIA SWEGO ZADANIA

CHORE ZĘBY

Zbigniew Dzięciołek

— JESTEM przerażony, gdy przeglądam arkusze, które wypełniają stomatolodzy w szkołach — mówi Marian Pic, inspektor do spraw stomatologii przy lubelskim Zespole Opieki Zdrowotnej. — Lekarze nie są w stanie opanować próchnicy zębów nawet w jednej czwartej. Szczególnie trudna sytuacja jest w tych szkołach, w których większość młodzieży pochodzi ze wsi. Dostęp do dentysty na wsi jest praktycznie żaden. Toteż zdarza się, że do szkolnego gabinetu przychodzi piętnastolatek, któremu brakuje pięciu zębów stałych, a dalsze dziesięć wymaga natychmiastowego leczenia. Dlatego liczba dzieci i młodzieży z próchnicą stale się powiększa.

Dane statystyczne ZOZ w Lublinie z roku 1988 nie napawają optymizmem. Wprawdzie wśród 5—6-latków wskaźnik procentowy dzieci bez próchnicy zębów wynosił 66,3, ale już u dzieci 13-letnich wskaźnik PUW (próchnica, usunięcie, wypełnienie czyli plomba) wynosił 3,44. To znaczy, że każde „statystyczne" dziecko miało 3,4 zębów próchnicowych, zaplombowanych bądź usuniętych. Dane dotyczące 18-letniej młodzieży są jeszcze bardziej alarmujące. Tylko 70 procent młodych ludzi posiadało wszystkie zęby, co nie oznacza jednak, że były one zdrowe. Lekarze szacują, że zaledwie co dziesiąty młody człowiek ma pełne i zarazem zdrowe uzębienie.

Próchnica psuje nie tylko zęby. Chore zęby i przyzębie to ognisko zapalne dla innych organów, powodujące m.in. zapalenia mięśnia sercowego, stawów, nerek, oka, choroby żołądka i dwunastnicy, zatok, a nawet choroby ginekologiczne. Jeżeli dodamy, że 6—7 procent nowotworów powstaje w jamie ustnej, to uzyskamy przybliżony obraz skutków kulawej stomatologii.

Polscy stomatolodzy pracują na czeskim sprzęcie firmy „Chirana". Zmorą jest brak części zamiennych do tego sprzętu, ale najważniejsze, że jest to sprzęt marnej jakości. Mówiąc obrazowo, urządzenie do borowania działa jak młot, a więc oprócz tego, że skrawa, to jeszcze tłucze. Po tzw. opracowaniu i zaplombowaniu zęba — powstają niewidoczne gołym okiem mikropęknięcia, a w nich tworzy się próchnica wtórna. Materiał do wypełnień też pozostawia wiele do życzenia. Plomby wypadają, powodując dalszy rozkład zęba. W ten sposób stomatolodzy marnują swoją pracę, a pacjentom szkodzą.

Chroniczny brak materiałów i części zamiennych, to tylko jeden z wielu problemów dręczących stomatologię. Na jej rozwój nie ma ani złotówek, ani tym bardziej lepszych pieniędzy. Przychodnie i gabinety budowane są w ślimaczym tempie, daleko odbiegającym od potrzeb. Jeżeli np. w dzielnicy Czuby funkcjonuje jedna przychodnia, obsługująca ponad 30 tysięcy mieszkańców, to trudno się dziwić, że o godzinie 7 rano brakuje już „numerków". Ludzie, przychodzący się zarejestrować przed godziną szóstą, nie przebierają w słowach pod adresem władzy. W innych dzielnicach sytuacja nie wygląda lepiej. Pobożne życzenia i płonne nadzieje niczego nie zmienią. Na razie należałoby raczej skierować kroki w stronę dobrze zorganizowanej profilaktyki, bowiem efekty jej działania przyniosą większe korzyści, niż lutowanie końcówki do wiertła i naprawianie zepsutych spluwaczek.

Fluorowanie wody ma swoich zwolenników i przeciwników. Ci ostatni twierdzą, że nie wolno nikogo zmuszać do przyjmowania leków, a fluor jest przecież lekiem. Podawany w nadmiernych ilościach, może powodować więcej szkód niż pożytku. Szkliwo staje się kruche i łamliwe, pojawiają się na nim kredowobiałe, a później brązowe plamy. Mogą także wystąpić zmiany w kościach i ścięgnach. Zwolennicy odpowiadają na to, że przecież szkodzi każdy przedawkowany lek. Natomiast organiczne związki fluoru, wprowadzone do wody w ilościach 0,8—1-2 mg% na 1 litr, wzmacniają szkliwo, które staje się mniej wrażliwe na uszkodzenie. We Wrocławiu, godzie woda pitna jest fluorowana, próchnica zębów u dzieci zmniejszyła się o 60 procent! Te dane nie wymagają komentarza. Jest to najtańszy i najskuteczniejszy sposób zapobiegania próchnicy, gdyż roczny koszt fluorowania wody w jednym mieście równy jest cenie tubki pasty do zębów, przypadającej na jednego mieszkańca. Tym bardziej, że w Polsce mamy odpowiednie dozowniki do fluorowania.

Niestety, przeciwnicy wzbogaconej wody suktecznie blokują wszelkie w tej mierze poczynania. Lublin niczym się pod tym względem nie wyróżnia. Prawdopodobnie jeszcze długo będziemy mieli w kranach jedynie śmierdzący chlor.

— Szkolna profilaktyka nie spełnia swego zadania — mówi dr Pic. — Dzieci traktują fluoryzację zębów jak zło konieczne. Największym bohaterem jest ten, który pierwszy wyleje preparat fluorowy. Ale jak można dziwić się dzieciom, skoro władze podejmują czasami takie decyzje, od których włosy stają na głowie. Kiedyś w Lublinie dostaliśmy pisemne zarządzenie jednego z wiceministrow, dotyczące zakazu sprzedaży past fluorowych, bo jakiś smarkacz zjadł cztery tubki tej pasty i zachorował. Piramidalna bzdura!

W sytuacji, kiedy na Zachodzie 90 procent past zawiera dodatek fluorowy, polska pasta „Fluorodent", zawierająca 0—13 procent wolnego fluoru, występuje na rynku w śladowych ilościach. Inne pasty, jak „Pollena" czy „Consul", czyszczą tylko mechanicznie, nie wzbogacając uzębienia w nic, co zwiększyłoby jego trwałość. Przeprowadzone badania dowodzą, że mamy też i takie pasty, które ze względu na zbyt grube składniki cierne kaleczą szkliwo. Skutki używania takiej pasty łatwo przewidzieć.

Jednak nawet w krajach o wysokiej kulturze zdrowotnej i dobrze funkcjonującej opiece lekarskiej profilaktyka nie rozwiązuje wszystkich problemów. Próchnica zębów jest tak rozpowszechniona u dzieci, młodzieży i dorosłych, że uznaje się ją za jedną z chorób społeczeństwa cywilizowanego. Stąd ważnym, a praktycznie jedynym pewnym sposobem opanowania próchnicy i innych chorób zębów jest odwiedzanie dentysty przynajmniej dwa razy w roku.

Ale jak pokonać strach przed dentystą? W świecie poszukuje się i na to sposobów. Zabiegi stomatologiczne wykonuje się bezboleśnie, a to dzięki stosowaniu środków eliminujących ból, albo — jeśli stan ogólny pacjenta na to pozwala — dokonuje się ich w uśpieniu. Oczywiście przy takim zabiegu musi uczestniczyć także anestezjolog. Ale świat — światem. W naszych polskich warunkach można by na początek zrobić przynajmniej tyle, by gabinet nie przypominał sali szpitalnej, a fotel nie kojarzył się z miejscem tortur. Niewielka ilość farby i kolorowe prospekty na ścianach mogą ten stan rzeczy zmienić. Przy dobrej woli władz oświatowych i służby zdrowia można, na przykład, ufundować nagrody dla uczniów, którzy dbają o zęby i regularnie odwiedzają szkolnego dentystę. Możliwości podobnych działań wydają się nieograniczone i nie są potrzebne specjalne fundusze, aby takie pomysły urzeczywistnić.

Nie pomogą jednak żadne pasty, dobrze wyposażone gabinety, fluorowana woda i inne akcje „wiewiórcze", jeżeli sytuacja materialna i warunki pracy stomatologów nie zmienią się radykalnie. Wydatki budżetu państwa na służbę zdrowia osiągnęły w Polsce wartość jedną z niższych w Europie, zaś płace personelu medycznego wynoszą mniej niż 70 procent średniego uposażenia w gospodarce uspołecznionej.

Kolejną sprawą, dla mnie niezrozumiałą, jest przymus pracy dentystów w szkołach i przedszkolach tuż po ukończeniu studiów, traktowany jak zsyłka do karnych batalionów. Dziwię się takim poczynaniom, bo właśnie w szkole i przedszkolu winien pracować lekarz z dużym doświadczeniem. Toteż należałoby raczej zachęcić doświadczonych stomatologów do pracy z dziećmi i młodzieżą, a nie zmuszać do tego adeptów. Czy nie można, na przykład, zaproponować im ferii i wakacji w takim wymiarze, jaki mają nauczyciele?

Osobnym problemem są choroby zawodowe, spowodowane specyficznymi warunkami pracy. Lekarz stomatolog, pracujący kilkanaście lat z drgającą wiertarką w ręku, przechylony do boku i do przodu, jest z góry skazany na skrzywienie kręgosłupa i urazy pochodzące z wibracji. Jeżeli dodamy do tego „ostre" łokcie, chroniczne zapalenie spojówek, deformację barku i zagrożenie chorobami zakaźnymi, (stomatolog — jak to się fachowo określa — pracuje w bezpośrednim torze oddychania pacjenta) to trudno się dziwić, że ciągle brakuje w kraju dentystów. Niektórzy wyjeżdżają za granicę, tam czyszczą protezy, aby tak zarobione pieniądze pozwoliły im później na prowadzenie... działalności charytatywnej. Wszak tylko tak można nazwać ich pracę przy obecnych zarobkach.

Stan zdrowotny społeczeństwa polskiego u progu XXI wieku wygląda katastrofalnie. W porównaniu z innymi krajami europejskimi znajdujemy się na szarym końcu. Ale jak można mówić o poprawie opieki zdrowotnej społeczeństwa, skoro ci, którzy nas leczą, są jej pozbawieni. Paradoks? Kpina? Zapewne jedno i drugie. Ale brak prawidłowej opieki lekarskiej to dla dentysty najkrótsza droga do inwalidztwa.

A jakie perspektywy ma lekarz, który z konieczności przechodzi na rentę? W krajach zachodnich stomatolog pracuje zazwyczaj tylko kilkanaście lat na maksymalnych obrotach, aby zarobione i zaoszczędzone przez ten okres pieniądze później gdzieś zainwestować, rezygnując z pracy zawodowej. Czy taka sytuacja będzie u nas możliwa? Trzeba być niepoprawnym optymistą, żeby w to uwierzyć. Tylko bowiem gruntowna reforma służby zdrowia może zmienić ten stan rzeczy, ale — jak dotychczas — jest ona w fazie luźnych projektów. A wskaźnik PUW (próchnica, ubytki, wypełnienia) stale rośnie.

LISTY

„KŁOPOTY Z PATRONEM"

Zachęcony otwarciem dyskusji przez redakcję „Relacji" na temat postaci Bolesława Bieruta, pragnę wyrazić swój stosunek zarówno do „Listu otwartego" skierowanego do władz m. Lublina przez p. Norberta Wojciechowskiego jak i do stanowiska docenta Ważniewskiego z ANS w Warszawie, jakie zaprezentował na spotkaniu z przedstawicielami załogi FSC w Lublinie w pierwszych dniach marca br. („Relacje" nr 8/89).

Co do „Listu otwartego", to najogólniej mówiąc, popieram go w całej rozciągłości. W cywilizowanych społeczeństwach nie wystawia się bowiem, a przynajmniej nie powinno się wystawiać pomników tak ponurym postaciom, jaką był Bierut. Wszystkimi kierowniczymi funkcjami, jakie piastował w tym kraju, obdarzony został przez swoich mocodawców. Był więc ich najemnikiem i działał zgodnie z ich wolą. Nie miało to nic wspólnego z wolą czy interesem narodu polskiego. Bierutowi nie można jedynie odmówić polskiego pochodzenia.

Dlatego uważam, że pomniki Bieruta (również nazwa ulicy, patronat FSC i „muzeum") powinny być usunięte jeszcze przed planowanymi na czerwiec br. wyborami do ciał ustawodawczych. Jeżeli cokolwiek miałbym dodać do oskarżeń zawartych w „Liście otwartym", to w moim przekonaniu Bierut odpowiedzialny jest również za wszystkie ofiary (po obu stronach) walk bratobójczych w latach 1944—47. Gdyby bowiem nie było dzikiego, krwawego terroru skierowanego przeciwko członkom AK i delegatom Rządu emigracyjnego na kraj na czas okupacji, nie byłoby żadnych logicznych powodów do walk bratobójczych. Realna rzeczywistość przesądzała, że AK nie miała żadnych warunków do tego, aby być siłą zagrażającą władzy Bieruta. A mimo to Bierut i jego „doradcy" postanowili fizycznie zniszczyć przynajmniej ocalały przy życiu korpus oficerski AK.

Po wyzwoleniu od hitlerowców, umęczonemu narodowi mogła i powinna grozić jedynie uczciwa i bezkrwawa walka na programy i kartki wyborcze. Bierut jednakże hołdował tylko walce krwawej, gdyż za nim stała potęga militarna i gwarantowała „zwycięstwo" nad rządzonym narodem. Szopka wyborcza natomiast, jaką Bierut zaprezentował w 1947 r., przeznaczona była tylko dla anglo-amerykańskiego widza na „zamknięcie sprawy polskiej". Prawdzie tej nikt i nigdy nie zdoła zaprzeczyć, gdyż jest ona faktem historycznym.

Jak nikczemną była postać Bieruta, świadczy także fakt, że tych wybitnych Polaków (w tym wybitnych dowódców wojskowych), których nie mógł dosięgnąć i zgładzić, pozbawił obywatelstwa polskiego i prawa powrotu do Ojczyzny, o którą walczyli od pierwszego do ostatniego dnia wojny. I pomyśleć, że sam był tylko najemnikiem.

Są jednak ludzie, którzy bronią Bieruta jako wybitnego Polaka — męża stanu, ba, nawet zasłużonego dla Polski. Nad tym, co zaprezentował docent Ważniewski przedstawicielom załogi FSC o ich niechcianym patronie, najdelikatniej mówiąc, trzeba ubolewać. Trzeba mieć dużo odwagi i zarazem pecha, aby na jednym spotkaniu wygłosić o Bierucie tyle sprzecznych ze sobą ocen. Doc. Ważniewski m. in. stwierdził, że: Bierut był samodzielnym politykiem, nie wiernym wykonawcą i marionetką, ale dalej, że tenże sam Bierut jakoby bezradny był wobec „pewnych kręgów", od których to kręgów płynęło zło itd. itp.

Aby słuchacze się nie nudzili, opowiedział im „kawał stulecia", a mianowicie, że „Bierut odegrał wielką rolę na konferencji poczdamskiej w kwestii ustalenia zachodniej granicy Polski". Coś tu się panu doc. poplątało na temat tam odegranych ról. Bierut, moim zdaniem, odegrał tam jedynie największą rolę swojego życia, o jakiej nawet nie marzył, a była to rola głowy państwa polskiego.

Doc. Ważniewski hołduje — jak mi się wydaje — spotykanym czasem (głównie w światku chałturników rozrywkowych) opiniom, że „na prowincji" można pleść byle co.

Na zakończenie wyjaśniam, że nie byłem członkiem AK i w okresie „panowania" Bieruta nie byłem prześladowany. Przeżyłem natomiast obozy hitlerowskie. Moje pochodzenie społeczne też nie kwalifikuje mnie do „wrogów klasowych".

(Nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

Dziennik wojenny Wacława Flisińskiego (autor urodził się w 1906 r. w Annopolu, zmarł przed kilku laty w Nowym Jorku), będąc w znacznej części dokumentem z epoki stalinowskich łagrów, jest zarazem barwną opowieścią o polskich żołnierskich drogach w czasie II wojny światowej.

Stanowi on jakby dopełnienie fresku wojennego autorstwa lublinianina, dr. Adama Majewskiego — „Wojna, ludzie i medycyna" — owych wspomnień pisanych z punktu widzenia lekarza chirurga, oficera 3 Dywizji Strzelców Karpackich. U Flisińskiego natomiast mamy relację podoficera, kancelisty w polowym szpitalu 5 Kresowej Dywizji Piechoty — 2 Korpusu Polskiego.

Podobnie jak Adam Majewski, wywodzący się również z Lubelszczyzny kapral, a następnie sierżant Wacław Flisiński (w życiu cywilnym — sekretarz Urzędu Gminnego w Annopolu) zamieszcza w swym dzienniku mnóstwo odniesień do rodzinnego regionu. Pisze też o ludziach z lubelskich wsi, miasteczek i miast, których spotkał w czasie długiej wędrówki — od łagrów położonej na północy ZSRR republiki Komi aż po winnice słonecznej Italii.

M. D.

OD ŁAGRÓW KOMI DO WINNIC ITALII

Wacław Flisiński — *Córce mojej poświęcam*

**Obóz jeńców wojennych,
Nianda, Ustwymski Rajon,
Komi, ASRR,
15 lipca 1940.**

Wokół tajga, odwieczna tajga. Wśród niej nasze baraki obozowe. Pobyt w tajdze byłby może nawet przyjemny, piękny, gdyby nie tragiczność naszej sytuacji. Gdyby nie codzienność obozowa, która wydaje się jakimś koszmarnym snem.

✲

Obóz nasz położony jest około czterystu kilometrów na północny wschód od miasta Kotłas i nosi nazwę „Nianda". A oficjalna jego nazwa brzmi: „55 Łagiernyj Punkt, Piatoje Otdielenije Sew-Żel-Dor-Łag (Siewiernyje Żeleznо-Dorożnyje Łagiera).

Odcinek linii kolejowej, przy której budowie pracujemy, rozpoczyna się w Kotłasie, a kończy w miejscowości Workuta, położonej już za Kręgiem Polarnym, w pobliżu Morza Karskiego. Z Kotłasu do Workuty jest około tysiąc dwieście kilometrów. Budowana przez nas stacja kolejowa nosi nazwę Urdoma. Niedaleko od Niandy, która jest obozem centralnym, znajdują się jeszcze dwa inne obozy jeńców wojennych, tzw. podkomandirowki: Urdoma i Tywa.

Obok naszego obozu przepływa rzeczka Nianda. Ponad głębokim jarem, którego dnem toczą się jej wody, wznoszony jest drewniany most kolejowy. Niedaleko stąd do miasta Kniaz Pohost, gdzie mieści się centralna siedziba władz budowy kolei Kotłas — Workuta. Do tej centrali nadchodzą listy z Moskwy i tutaj się je segreguje na obozy. Kniaz Pohost leży nad rzeką Wym.

Stolicą autonomicznej republiki Komi, zamieszkałej głównie przez Rosjan i Komiaków, jest Syktywkar, dawny Ust Sysolsk. Jest to dawne miasto powiatowe guberni wołogodskiej; leży na lewym brzegu rzeki Sysoły powyżej jej ujścia do Wyczegdy. Przez Syktywkar idzie droga handlowa do Archangielska. Dawniej była to droga tylko wodna; dziś — również kolejowa.

Okres lata trwa tutaj bardzo krótko. W czerwcu w lesie topnieje stary śnieg, a nowy — jak nam opowiadają tutejsi — pada już w początkach października lub nawet w końcu września. Zima jest długa i bardzo mroźna; mrozy dochodzą do ponad 50 stopni C; śniegi — na półtora metra. Latem — jak obecnie — w czerwcu i lipcu jest pięknie. Słoneczne dni i bezchmurne noce. Białe noce.

Jak już wspomniałem, budujemy tutaj przez tajgę i poprzez moczary odcinek drogi kolejowej Kotłas — Workuta. „Po planu" — zgodnie z planem — układanie toru ma być zakończone do 10 października.

Naczelnikiem naszego obozu był na początku niejaki Małachowski, Polak urodzony w Warszawie. Często z jeńcami rozmawiał po polsku, choć mówił słabo, z wyraźnym akcentem rosyjskim. W Rosji przebywał już od bardzo wielu lat. Swojej narodowości się nie zapierał, a opowieści o Warszawie słuchał bardzo chętnie. Powiedziałem mu pewnego razu, że w Warszawie jest Plac Małachowskiego i może jest on spokrewniony z kimś z tamtej rodziny Małachowskich. Wzruszył tylko ramionami. Ale uśmiechnął się, jakby do jakichś wspomnień z lat młodości.

Po awanturze, jaką urządziliśmy około połowy czerwca, stając w obronie „słabosilnych", to znaczy tych, którzy jeszcze w poprzednich obozach mieli zwolnienie od ciężkiej pracy ze względu na stan zdrowia, a tutaj kazano im pracować tak samo jak wszystkim innym, Małachowski został przeniesiony w jakieś inne miejsce. Wielu kolegów wtrącono wówczas do kraceru, a dla osobnych zorganizowano specjalną karną brygadę, na której czele postawiono Kuczuka; zdaje się, Ukraińca z pochodzenia.

Obecnie naczelnikiem naszego obozu jest Ukrainiec nazwiskiem Warakuta. Mówi się: „buduje kolej do Workuty — naczelnik Warakuta".

Wśród „słabosilnych" byłem i ja. Zwolniony, jeszcze w Zaporożu, od

Ołówkowy portret Wacława Flisińskiego wykonany 2 X 1939 r. w obozie jenieckim w Zwiahlu przez nieznanego autora.

Repr. Waldemar Stępień

ciężkiej pracy po przebytym zapaleniu płuc, także tutaj, w Niandzie, nie wyszedłem następnego dnia po przybyciu, razem z innymi mieszkańcami mojego baraku, na miejsce zbiórki, sądząc, że otrzymam jakieś lekkie zajęcie w samym obozie. Takich jak ja było około setki; także inwalidzi lub ludzie w podeszłym wieku. Udałem się do lekarza i zwróciłem się do niego z prośbą o potwierdzenie mojego „statusu". Nie chciał nawet słuchać. „Nada rabotat'!" — oświadczył krótko.

Wieczorem, kiedy do baraku wrócił z pracy mój przyjaciel i kompan Leon Sławecki z Czemiernik na Lubelszczyźnie, wyznałem mu, że niestety, ja także muszę iść na trasę kolejową. „No, cóż! — powiedział. — Będziemy jakoś ciągnąć razem tę robotę!"

Od rana 6 czerwca pracowałem już przy konserwacji drogi i jej poboczy oraz przy budowie drogi z okrąglaków. Okrąglaki trzeba było spiłować w lesie, gdzie leżały ścięte drzewa, a następnie okrzesać i donieść do drogi. „Płacili" nam za to — 900 gramów chleba dziennie i tak zwany „drugi kocioł". Warunki — nie najgorsze. Czasem, poza zupą i kaszą, dawano także rybę. Brygadierem był Rosjanin.

W następnym tygodniu zostałem przeniesiony do innej brygady. Okazało się, że... jest to jedna z najsilniejszych brygad na trasie: „stachanowcy" brygadiera Hołówki. O Boże, ja — i „stachanowiec!"

Przez pierwszy tydzień dostawałem poprzednią rację: 900 gramów chleba i odpowiedni „kocioł". Ale inni w tej brygadzie dostawali po 1200 gramów chleba. Niestety, po tygodniu pracy „stachanowskiej" moja norma chleba wynosiła już tylko 400 gramów i przeszedłem na „trzeci kocioł".

Pracowałem przy budowie nasypu. Woziło się z „zabojów" (kopalń odkrywkowych znajdujących się w lesie) piasek, żwir, kamienie — na nasyp pod przyszły tor kolejowy. Pracowało się parami. Ale nikt ze mną, jako „słabosilnym", nie chciał stanowić „zwiena". Po jakimś czasie moją „parą" stał się Jerzy Paw z Sarn. „Jechał" on do tej pory na tym samym „kotle" i na tej samej normie chleba co i ja.

Ręka w rękę z Jerzym robiliśmy, co było można. Inni wywozili taczkę załadowaną kopiasto; nasza zawierała ledwie czwartą część tego. Brakowało nam sił. Mieliśmy najgorszy sprzęt. Najlepsze taczki wybrali sobie prawdziwi „stachanowcy". Przydzielono nam też najgorszy „zaboj": ładunek pełen kamieni i żwiru. Najlepszy, „najefektowniejszy" piaskowy „zaboj" przydzielony był przez brygadiera „stachanowcom". Szybko objawiło się nam, że „stachanowcy" to utrapienie; to kwiat hodowany w doniczce na nawozach sztucznych.

Otrzymywana przez szereg tygodni norma 400 gramów chleba dziennie to nieuchronny spadek sił i utrata zdrowia. Doszło do tego, że zgłosiłem się do jednego z zaporoskich kolegów z prośbą o pomoc; „Ratuj, Edek, bo ginę!" Edek powiada z pretensją w głosie: „Czemuś tego wcześniej nie mówił?!" Oczywiście zaraz dał mi swoją „pajkę" 900-gramową na dział. Jego pomoc trzymała mnie przez szereg dni w lepszej kondycji fizycznej i duchowej. Ratunek — w czas.

✲

Nazywa się Urban, a pochodzi spod Żywca, prawdziwy więc Góral, gibki jak „jołka" podhalańska. Któregoś dnia, na rannym „razwodzie", nasz polityczny „wospitatiel" ogłosił ze swej mównicy, że Urban wyrobił wczoraj siedem norm pracy. Urban jest w naszej brygadzie, u Hołówki.

Podczas pracy zagadałem do Urbana: „Ty, jak to się stało, że masz siedem norm »wyrabotki«"? Rzucając jedną po drugiej masywną szuflę ziemi na taczkę. Urban wyjaśnił, o co chodzi. Oczywiście, tych „wzorowych" siedem norm to rzecz absolutnie naciągnięta. A rzecz ma się tak:

Nasza brygada pracuje na „wyjomce" w wykopie. W tym miejscu jest piasek, ale zakwalifikowano ten obszar jako grunt gliniasty, dając w związku z tym normę dzienną „kubometrów" znacznie niższą niż w wypadku piasku. Skorzystali z tego dziesiętnik z „prorabem". Ponieważ Urban zawsze wyrabiał więcej „kubometrów" niż każdy z nas, więc dla reklamy przypisali mu owych „kubometrów" najwięcej, obdzielając zresztą także innych członków brygady, ale tylko po jednej „wygospodarowanej" normie. A dwóm czy trzem w ogóle nic nie dopisano. Urbanowe siedem norm pochodziło więc nie z jego autentycznej pracy, ale z przypisanego mu nadzysku całej brygady. I tak oto, dla politycznych celów, zrobiono z Urbana nieprzeciętnego „stachanowca". Urban, jak mógł, usprawiedliwiał się przede mną ze swego wyróżnienia.

Pogadaliśmy sobie przy tym i na inne tematy. Okazuje się, że jego rodzina osiadła na Lubelszczyźnie. Ponieważ powiedziałem, że jestem z Annopola, nasza znajomość jakby się jeszcze pogłębiła. Urban zaczął się zwierzać: „Panie, ja tak ciężko pracowałem w kraju, że to, co w tej chwili robię, nie wymaga ode mnie zbytniego wysiłku. Ja jestem biednym człowiekiem. Jak budowałem własny dom, musiałem sam na własnych barkach znieść z górskiej hali każdy kloc drewna. Długo mi trzeba było ten dom budować, ale go w końcu zbudowałem. A teraz, niech pan zrozumie: ja chcę tutaj, w niewoli, przeżyć; ja chcę szczęśliwie wrócić kiedyś do kraju; chcę zobaczyć rodzinę. I może jeszcze uda mi się sprowadzić moich najbliższych z powrotem, z Lubelszczyzny, w rodzinne strony, w góry. I, proszę pana, na 400-gramowej porcji chleba ja tutaj długo nie pociągnę. Dlatego muszę zarobić co najmniej 900 gramów chleba dziennie i odpowiedni »kocioł«. A w dodatku ja naprawdę nie czuję się przy tym wszystkim zbytnio przepracowany".

Ja mu na to, że musi zrozumieć, iż jutro albo pojutrze starym, znanym zwyczajem „normirowszczyk" podniesie wszystkim normy pracy, powołując się na jego, Urbana, przykład. „Urban! — powiadam. — Powinieneś się trzymać pewnej stałej określonej wydajności; nie robić skoków co tygodnia: więcej i więcej. Pal licho tych siedem norm; wiemy, że był to przypadek. Ale poprzednio już kilkakrotnie wyrabiałeś autentycznie po dwie normy. Ja, na przykład, trzymam się zasady, żeby wyrobić nieco więcej niż jedną normę. Wtedy dostaję trochę pieniędzy, a za te pieniądze mogę sobie kupić od kogoś dodatkową »pajkę« chleba. Jeżeli zaś wyjątkowo »trafią« mi się dwie normy, to dzieje się to nie z mojej winy. Po prostu — brygadier, dziesiętnik, prorab obliczają po swojemu cedułki; coś tam dopisują wszystkim i ja się wtedy nie zastanawiam, ja nikomu nie szkodzę; biorę ten chleb, co dają, i spożywam z myślą, że nie okradam innych ludzi". Urban w czasie tej mojej perory milczał, ale sądzę, że się ze mną w duszy zgadzał.

Ten Urban to rzeczywiście chłopisko nieprzeciętne. Dysponuje nieprawdopodobną siłą fizyczną. Opowiadał mi, że odbywając służbę wojskową w saperach kolejowych, bywało, iż dźwignął nieraz sam taką belkę, z którą ledwie się mogło uporać dwóch innych. Tutaj, na „wyjomce", jego taczka jest jedna z największych. Więc Urban nie musi się obawiać, że przed rozpoczęciem pracy ktokolwiek się na nią połakomi. Każdy poluje na taczkę małą, lekką, bo wtedy łatwiej pracować. Szufla, którą się Urban posługuje, jest o wiele większa i bardziej pojemna od mojej. On bez żadnej fatygi kilkoma rzutami szufli napełnia swoją taczkę piaskiem, ziemią, kamieniami czy gruzem; narzuca tego pełen kubik, gdy ja nasypuję do mojej ledwie czwartą część kubika i już mam absolutnie dość. Jak Urban wjeżdża swoją taczką na nasyp, to aż drewniane „trapy" trzeszczą. Tylko w niektórych miejscach musi mu pomagać „naparnik", tam gdzie najbardziej stromo, bo nawet taki siłacz jak on nie dałby rady. Dzieje się tak przy wyjeździe taczką z wykopu, który jest tak głęboki, że „trapami" trzeba się wznieść o kilka pięter.

Nikt nie chce (bo by nie zdołał) pracować z Urbanem jako jego „naparnik". (Normalnie w wykopie pracuje się po dwóch. Jeden nasypuje ziemię lub piasek na taczkę, a drugi wywozi ładunek w las na nasyp). Urban wcale nie ma o to pretensji. Najlepiej pracuje mu się w pojedynkę.

Ja bym sobie bez „naparnika" nigdy nie dał rady. Najlepiej pracuje się z przyjaciółmi. W różnych okresach i brygadach pracowałem z Leonem Sławeckim, Teofilem Cybokiem, Stanisławem Ejsmontem, Józefem Mikulskim i Jerzym Pawem. Pomagaliśmy sobie i wspieraliśmy się, jak tylko potrafiliśmy: siłą mięśni, dobrym słowem, kawałkiem chleba.

(Koniec odcinka 9. — cdn.)

Podał do druku i opracował:
Mirosław Derecki

CO TRZECI SPRAWCA PRZESTĘPSTWA KRYMINALNEGO NIE MA 17 LAT!

TWÓJ SYN MORDERCA...

Violetta Krasnowska

PRZESTĘPCZOŚĆ nieletnich. Trudno jest przejść nad tym do porządku dziennego. Jeszcze trudniej rodzicom, gdy nagle dowiadują się, że ich dziecko — trzynasto-, piętnastoletnie — jest przestępcą. Szok, zaskoczenie, łzy. Potem pytanie: dlaczego? Czego się nie dopilnowało, że dziecko wymknęło się spod kontroli, że stało się „kryminalistą"?

Jedni za ten stan rzeczy winią szkołę, że zbyt mało poświęca czasu swoim uczniom; drudzy — różne organizacje młodzieżowe, że się młodzieżą nie zajmują tak, jak powinny; jeszcze inni — kraj, w jakim żyjemy, w którym uczciwego człowieka uważa się za frajera. Najwięcej racji mają jednak ci, którzy główną winę widzą w samej rodzinie. Przecież to właśnie tam kształtuje się system wartości, normy zachowań, którymi ma się kierować dziecko w swoim przyszłym, dorosłym życiu.

Rozbite rodziny, ciągła pogoń rodziców za pieniądzem, za lepszym materialnie życiem, która nie pozwala dostatecznie dobrze zająć się dzieckiem — oto najczęstsze powody rodzenia się przestępczości u dzieci. Często jest to całkowity brak zainteresowania tym, co dziecko robi po szkole, z kim się spotyka, czym się interesuje, w końcu skąd ma pieniądze, nowe ubrania. Potem rozpacz i rwanie włosów z głowy. Że się wyhodowało młodego mordercę, złodzieja... Ot, tak, mimochodem. W przerwach między kolejką i karierą.

Łatwość nawiązywania znajomości, dużo wolnego czasu, chęć szpanowania pieniędzmi, pokazania kolegom, że jest się mocnym, bezwzględnym. W ten sposób w pewnych kręgach młodzieżowych osiąga się mir bohaterstwa. Częstokroć owe bohaterstwo sprowadza się do napaści na bezbronnego człowieka. Wiąże się z brakiem jakichkolwiek autorytetów, norm współżycia międzyludzkiego, świadczy po prostu o demoralizacji. A problem narasta.

Według lubelskich statystyk milicyjnych z ubiegłego roku, co trzeci dokonujący czynów kryminalnych to osoba nieletnia. Najbardziej „popularne" wśród młodzieży są kradzieże — dla zdobycia pieniędzy. W 1988 roku na terenie Lublina i okolic ujęto sprawców i udowodniono winę za następujące, niżej uszeregowane w tabelę, przestępstwa:

TABELA

Rodzaj czynu	Nieletni	Osoby dorosłe
kradzieże zwykłe (bez włamania)	154	225
kradzieże kieszonkowe	66	36
włamania do obiektów społecznych	106	92
kradzieże z włamaniem do mieszkań i samochodów	138	147

Ta statystyka niepokoi tym bardziej, że nie daje pełnego obrazu czynów przestępczych. Wiele jest przecież przestępstw nie wykrytych. Rzadko też się zdarza, żeby jedna osoba dokonała tylko jednego przestępstwa. Celem jest oczywiście chęć zdobycia pieniędzy, szybkiego i łatwego wzbogacenia się. Modne ciuchy, gry komputerowe, papierosy, alkohol, dyskoteka, taksówki i wiele innych przyjemności — to kosztuje. A oni nie chcą czekać. Chcą użyć życia. Już teraz.

Jednego z ujętych nieletnich włamywaczy kurator zapytał o powód włamania i usłyszał odpowiedź: „A rzygał pan kiedyś czarnym kawiorem?". Inny postawił w zasadzie retoryczne pytanie: „Kiedy, jak będę pracował uczciwie, kupię sobie malucha?".

MŁODZIEŻ jest bardzo dobrym obserwatorem życia, wie, że uczciwą pracą w tym kraju niczego się nie osiągnie. A w każdym razie nie osiągnie się dobrobytu, w którym chcieliby żyć. Więc kradną, włamują się i po swojemu używają życia. Przy tym częstokroć „zysk" jest nieadekwatny do stosowanych „metod". Duża brutalność, chęć „wyszumienia się", popisania przed grupą — to obecnie stanowi dominantę „działań". Zabicie człowieka dla 20 złotych. To przeraża najbardziej: nieuświadamianie sobie wagi swoich czynów. Niedawno dokonane, bardzo brutalnie zabójstwo na terenie Warszawy przez grupę nieletnich z Lublina właśnie o tym świadczy. W styczniu na terenie Lublina miało także miejsce wydarzenie, które poruszyło opinię publiczną:

17 stycznia dwaj przyjaciele z ławki szkolnej, uczniowie VIII klasy szkoły podstawowej, dokonali napadu na kierowcę taksówki...

W szkole uczą się źle. Uważają ją za najbardziej niepotrzebną rzecz, są niezdyscyplinowani. Palą, piją, zażywają środki odurzające. Tego dnia, po zażyciu w szkole znacznej ilości relanium, wpadli na pomysł, żeby zdobyć pieniądze. Nie mieli żadnych konkretnych planów, na co je przeznaczyć. Chcieli po prostu mieć.

O jednym z nich można powiedzieć, że pochodzi z bogatej rodziny, ma modne, drogie ubrania, na brak gotówki w zasadzie nigdy się nie uskarżał. O drugim z kolei nie można powiedzieć, żeby żył w biedzie. Co więc nimi powodowało? Jeden z nich podczas przesłuchania powiedział: „Chodziło też nam o to [...], żeby było się w czasie tego przestępstwa można wyżyć".

Początkowo pomysłów mieli wiele: kradzież, włamanie... Zdecydowali się w końcu na napad na taksówkarza. Jeden widział coś podobnego w telewizji. Który z nich wpadł na ten pomysł, trudno się od nich dowiedzieć. Czy kieruje nimi braterska solidarność, czy rzeczywista niepamięć, też trudno stwierdzić. Mimo że w szkole orłami nigdy nie byli (poziom intelektualny poniżej normy), to plan przygotowali nadzwyczaj szczegółowo. Opracowali go w parę godzin. Chodząc po mieście, w kawiarni nad lampkami wina.

Ustalili, że muszą wybrać człowieka starszego, z którym będzie mało kłopotów, ale kierowcę z dobrym samochodem. Mieli usiąść z tyłu. Zamówić kurs za miasto. Zatrzymać się w ciemnym, odosobnionym miejscu. Na umówiony znak (stuknięcie kolanem) siedzący za kierowcą miał mu zarzucić na szyję pasek od spodni, siedzący obok miał bić metalowym narzędziem po głowie. Mieli zabrać samochód, pieniądze i ruszyć w dalszą drogę. Zaopatrzyli się w metalowy klucz, pasek mieli przy sobie.

„Jeszcze przed wejściem [do taksówki] Piotrek mówił mi, żebym za mocno nie uderzał, żeby go nie zabić, ale braliśmy też pod uwagę fakt, że przeholujemy i możemy go zabić, wtedy zamierzaliśmy ciało gdzieś ukryć i odjechać z miejsca samochodem".

Szybko przeszli do realizacji planu. Przed dworcem PKP w Lublinie znaleźli odpowiednią „ofiarę" z mercedesem. U celu podróży kilkakrotnie kazali zatrzymać się kierowcy, ale nie zaczynali „akcji"... A to ktoś przechodził, a to samochód jakiś stał. W końcu znaleźli odpowiednie miejsce. Jeden dusił, drugi bił kluczem po głowie.

„Musiałem go uderzyć, tzn. przynajmniej chciałem silniej, ale dach przeszkadzał".

Kierowcy jakimś cudem udało się uwolnić i uciekł z samochodu wzywając pomocy. Chłopcy szybko się przesiedli i ruszyli. Pominęli drobiazg. Żaden z nich nie posiadał prawa jazdy; ten, co siadł za kierownicą, miał dość blahe pojęcie o prowadzeniu takiego samochodu, więc i jazda trwała krótko. Przejechali niecały kilometr. Wóz ugrzązł w koleinach polnej drogi. Pozostawili samochód, zabrali saszetkę z pieniędzmi i dalej uciekali pieszo. Autobusem dotarli do Lublina. Tam podzielili się pieniędzmi. Byli bardzo zawiedzeni małym zyskiem. Liczyli na więcej. Dalej pojechali autobusem PKS do Włodawy — tam, gdzie chcieli dojechać „szykownym" samochodem. Tam też spędzili noc. Następnego dnia przyjechali do szkoły taksówką i spóźnili się tylko na jedną lekcję.

Jeden został zatrzymany 19 stycznia w Lublinie, drugi — 21 aż w Bogatyni. Obaj przebywają w schronisku w Dominowie, czekając na rozprawę sądową. Nadal nie mogą uwierzyć, że muszą ponieść karę. Liczą na wyrok w zawieszeniu. W najgorszym razie pół roku, rok w zakładzie poprawczym.

NASZA ustawa o postępowaniu w sprawach nieletnich z 1982 roku mówi, że największą karą — po ustanowieniu nadzoru rodziców (co praktycznie równa się uwolnieniu od odpowiedzialności) — jest umieszczenie w zakładzie poprawczym. Mogą tam się znaleźć osoby między 13 a 17 rokiem życia. (W zakładzie mogą przebywać do ukończenia 21 roku życia. Sąd nie podaje terminu uchylenia kary. O tym decyduje rada pedagogiczna zakładu). Wszystko jedno, czy idzie o morderstwo, czy o kradzież kieszonkową, gdy zostało to dokonane przed ukończeniem 17 roku życia — prawo stanowi tak samo. Lekkie prawo. Młodzież czuje się bezkarna i z tej bezkarności korzysta. Pomija się także fakt, że zakłady poprawcze wychowują jeszcze „lepszych", bardziej doświadczonych przestępców. Tak jak więzienie. Jakie jest więc wyjście?

W opisanym wyżej wydarzeniu mógł zginąć człowiek. Mało brakowało. Oni liczyli się z tą ewentualnością. Jedno mocniejsze uderzenie, mocniej zaciśnięty pasek, a zginąłby człowiek. Ale ten fakt do nich w ogóle nie przemawia. Będąc w Izbie Dziecka, jeden z nich powiedział: „O co taki krzyk, o te marne 18 tysięcy?".

Był to ich pierwszy czyn przestępczy. I obecne ograniczenie wolności jest dla nich dużym zaskoczeniem. Mimo szczegółowego opracowania „planu" nie pomyśleli o ewentualności, że będą musieli ponieść karę. Szybko się jednak zaaklimatyzowali w nowym środowisku. Zdążyli już wziąć udział w zbiorowej ucieczce z Dominowa. Nie świadczy to ani o poczuciu skruchy, ani chęci poprawy. Powiedzieli, że uciekli, by nacieszyć się wolnością.

KOMUNIKATY

NAGRODA IM. ANDRZEJA BURDY

Oddział Lubelski Stowarzyszenia Autorów Polskich — przy poparciu Wojewódzkiego Funduszu Rozwoju Kultury w Lublinie oraz Lubelskiego Towarzystwa Przyjaciół Prasy, Radia i Telewizji — ustanowił doroczną Nagrodę Autorską im. Andrzeja Burdy, która przyznawana jest w dwóch równorzędnych kategoriach: książki naukowej i popularnonaukowej; książki publicystycznej i literackiej.

W każdej kategorii Nagroda przynawana jest przemiennie, co drugi rok, począwszy od 1988 roku.

Nagrodę ustanowiono w intencji upamiętnienia postaci i dorobku prof. Andrzeja Burdy (1913—1987), członka Stowarzyszenia Autorów Polskich, wybitnego uczonego i publicysty, działacza politycznego i społecznego, który będąc człowiekiem prawym i odważnym, głęboko uwrażliwionym na los Polski, w życiu i twórczości nieodmiennie kierował się ideami socjalistycznego humanizmu. Równorzędnym celem Nagrody jest pobudzanie takiej ambitnej twórczości naukowej, popularnonaukowej, publicystycznej i literackiej, która spełniałaby rudymentarne wartości intelektualnej, moralnej i obywatelskiej postawy Patrona.

Wysokość Nagrody ustalono na 150 000 zł (słownie złotych: sto pięćdziesiąt tysięcy) w każdej z dwu kategorii.

Kwoty przeznaczone na Nagrodę w obu kategoriach nie mogą być podzielone na premie niższe, np. równorzędne.

W tym roku (1989) nagroda przyznana będzie w kategorii książki publicystycznej i literackiej, za prace wydane w latach 1987, 1988 i 1989.

Termin wręczenia Nagrody ustala się na 19 listopada (dzień urodzin Patrona Nagrody).

O nagrodę może ubiegać się każdy autor mieszkający na terenie województwa lubelskiego oraz wszyscy członkowie Oddziału Lubelskiego SAP, bez względu na miejsce zamieszkania.

Wnioski o przyznanie Nagrody, zaopatrzone w dwa egzemplarze proponowanego tytułu, składać mogą sami autorzy lub związki twórcze, instytucje i organizacje — w terminie do 30 września danego roku (obowiązuje data stempla pocztowego), pod adresem: **Oddział Lubelski Stowarzyszenia Autorów Polskich, ul. Weteranów 18, 20-038 Lublin.**

KONKURS

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, Wydawnictwo Lubelskie, Polskie Radio i Telewizja Lublin ogłaszają konkurs na wspomnienia nauczycieli akademickich i innych pracowników, a także studentów i absolwentów, którzy w latach 1944—1949 pracowali lub studiowali w UMCS. Wspomnienia o dowolnej objętości mogą obejmować również i okres poprzedzający związanie się z Uniwersytetem oraz dalsze losy piszącego po odejściu z uczelni.

Organizatorzy przewidują nagrody w wysokości: I — 150 tys. zł; II — 130 tys. zł; III — 100 tys. zł oraz 10 wyróżnień po 20 tys. zł.

Nadesłane prace stanowić będą własność Uniwersytetu. W przypadku ogłoszenia ich drukiem honorowane będą prawa autorskie.

Maszynopisy względnie rękopisy, opatrzone godłem wraz z zaklejoną kopertą zawierającą imię i nazwisko oraz dokładny adres autora, należy przesyłać do końca grudnia 1989 roku pod adresem:

Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej
Sekretariat Rektora
Pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5, 20-031 Lublin

ORYGINALNA LISTA KATYŃSKA W LUBLINIE!
CZY ANDRIEJ BUBNOW TO ADAM BUBA?

REWELACJE LUBELSKIEGO ARCHIWUM PCK

Leszek Wiśniewski

WCZASACH, gdy zainteresowanie historią staje się narodowym upodobaniem Polaków, każde znalezisko tyczące naszych najnowszych dziejów wzbudza publiczne emocje, przybiera niekiedy formy sensacyjne. Taki charakter ma niewątpliwie odkrycie dokonane w przedświątecznym tygodniu w lokalu Zarządu Wojewódzkiego Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie.

W czasie porządkowania strychu kamienicy PCK przy ul. Sławińskiego 7 natrafiono, pod stertą desek i rupieci, na fragment archiwum czerwonokrzyskiego z okresu międzywojennego i lat okupacji. Zawiera ono sprawozdania z działalności PCK w Lublinie i Zamościu, instrukcje, zarządzenia, informacje oraz — co najciekawsze — listy i prośby do Polskiego Czerwonego Krzyża o pomoc w poszukiwaniach bliskich, zaginionych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej.

Sensacją są natomiast odnalezione spisy poległych w Katyniu. Ściślej mówiąc, są to kopie „protokółu katyńskiego", opracowanego przez Komisję Techniczną PCK, działającą w Katyniu od 14 kwietnia do 12 czerwca 1943 roku przy ekshumacji zwłok polskich oficerów. Odpisy te przekazywało Biuro Okręgowe PCK w Lublinie do swojego oddziału w Zamościu, w miarę napływania informacji z Zarządu Głównego w Warszawie. Nie zachowały się niestety oryginały list poległych, na których podstawie sporządzano odpisy. Nie zachowało się również archiwum Zarządu Głównego PCK w Warszawie, które spłonęło w czasie Powstania. W tej sytuacji wszystko wskazuje na to, że odnalezione w Lublinie dokumenty są jedynymi zachowanymi oryginalnymi materiałami Polskiego Czerwonego Krzyża, dotyczącymi Katynia, a znajdującymi się dzisiaj w Polsce.

Podobnego zdania jest również pan Stefan Pedrycz — sekretarz Zarządu Wojewódzkiego PCK w Lublinie:

„Z posiadanych przeze mnie informacji wynika, że dokumenty przez nas odnalezione są jedynymi autentycznymi wykazami katyńskimi PCK. Mają one dla nas ogromne znaczenie, będą wielce pomocne przy poszukiwaniach, za naszym pośrednictwem, zaginionych w czasie wojny. Jest to wszak jedna ze statutowych powinności Czerwonego Krzyża. Bardzo interesujące są również inne materiały, dotyczące działalności Zarządu Okręgowego PCK w Lublinie; pozwalają one przybliżyć fragmenty historii naszej organizacji, jej trudną do przecenienia rolę w latach okupacji. Bezcenne są dokumenty sygnowane osobistym podpisem Pełnomocnika Zarządu Głównego PCK na Okręg Lubelski — Ludwika Christiansa, postaci symbolicznej już dla nas, działaczy czerwonokrzyskich. Postaci pięknej, mądrej i szlachetnej.

Trudno mi jest ustalić, skąd wzięły się na strychu te archiwalia. Czy zostały ukryte celowo, czy po prostu zapomniano o nich? Jeśli ukryto, to kto i kiedy to zrobił? Posesja przy ul. Sławińskiego 7 należała wraz z pałacykiem obok (dawny budynek Pogotowia Ratunkowego) już w okresie międzywojennym do Polskiego Czerwonego Krzyża. Pomieszczenia te (ówczesna ulica Wyszyńskiego 5) również w czasie okupacji zajmował Zarząd Okręgowy PCK. Być może, ktoś z jego dawnych pracowników mógłby wyjaśnić tę zagadkę? Mamy projekt zorganizowania wystawy tych i innych interesujących archiwaliów przy okazji jubileuszu 70-lecia Polskiego Czerwonego Krzyża".

W moim przekonaniu, dokumenty zostały ukryte prawdopodobnie w okresie powojennym, gdy pełniły rolę niechcianego świadectwa, mogącego przysporzyć pewnych kłopotów ich posiadaczowi. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności papiery te nie podzieliły losów ogromnej części lubelskiego archiwum, wywiezionego nieznaną ciężarówką w nieznanym kierunku w latach pięćdziesiątych. Działo się to w okresie, kiedy PCK został zawieszony w prawach członka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w związku z naruszeniem jego zasad w czasie wojny koreańskiej. Smutny ten epizod jest jednak tematem na zupełnie inne opowiadanie. Tymczasem uchylmy rąbka tajemnic skrytki na strychu posesji Sławińskiego 7. Moją szczególną ciekawość wzbudziły listy, którymi chciałbym zainteresować Czytelników. Oto ich fragmenty:

„Do Polskiego Czerwonego Krzyża Oddział w Lublinie. Zwracam się z prośbą o udzielenie mi informacji o Julianie Mazepie ur. 1900 r. w Stryju. Ostatnio w roku 1940 był w niewoli bolszewickiej jako porucznik. Stamtąd były do niego ostatnie wiadomości w lutym 1940 r. Od tej pory żadnej wiadomości nie ma. Na liście ofiar katyńskich do tej pory nie figurował. Bardzo dziękuję i proszę o odpowiedź. Z poważaniem M. Mazepa (Kraśnik)".

Brak odpowiedzi.

„Do placówki Polskiego Czerwonego Krzyża w Lublinie. W »Głosie Lubelskim« z dnia 2.06.1943 pod pozycją 1750 rozpoznanych ofiar katyńskich odczytałam nazwisko mego narzeczonego, a to: Hannig Konrad ppor., przy którym znaleziono książeczkę stanu służby oficerskiej z datą urodzenia 1909, medalik i trzy listy adresowane na nazwisko Malisz Franciszek w Kozielsku. Dane listy były pisane przeze mnie względnie jego matkę. Uprzejmie proszę o nadesłanie odnośnych pamiątek pod adresem Charlotte Konopa, Puławy, Distr. Lublin, Postr. 8".

Dopisek: „W odpowiedzi na list Pani z dnia 17.VI.1943 zawiadamiam, że Polski Czerwony Krzyż do tej pory depozytów po zmarłych wojskowych polskich w Katyniu nie otrzymał".

„W »Głosie Lubelskim« z dnia 6.05. 1943 w liście zidentyfikowanych zwłok z grobów pod Katyniem, pomiędzy nazwiskami Kinderman Alojzy i Rostowski Tadeusz umieszczono nazwisko Tadeusz Morawski z dopiskiem — stopnia nie utalono, szczegółów brak. Miałam brata tegoż nazwiska i imienia, podchorążego rezerwy, który był zmobilizowany w 1939 roku, wrócił z frontu do domu, został aresztowany w Brześciu nad Bugiem jako były wojskowy w pierwszych dniach marca 1940 roku, następnie został wywieziony do Mińska. Uprzejmie proszę..."

Krótki dopisek informujący o niemożności precyzyjnej identyfikacji z braku dostatecznych danych.

Krótki dopisek współczesny ode mnie: Poległy w Katyniu Tadeusz Morawski to podporucznik weterynarz, ur. 21.05.1909 r. Znalezione przy nim dokumenty to książeczka oficerska i dowód osobisty. Pozycja na niemieckiej liście „Amtliches Material zum Massenmord von Katyń" — 523. („Lista Katyńska", „Gryf", Londyn 1977).

Korespondencja wcześniejsza: „2.IX. 1939 r. Do Czerwonego Krzyża w Lublinie. Proszę uprzejmie o łaskawe odszukanie, ewentualnie ustalenie miejsca pobytu syna mego Aleksandra Kuca, szeregowca 10 pułku strzelców kresowych, który jako ochotnik wstąpił do tego pułku i w 1920 odszedł z tym pułkiem pod Kijów. Od tego czasu nie miałam od niego żadnego znaku życia..."

Brak dopisku.

I list, który kryje w sobie sensacyjną zagadkę:

„18.06.1937 rok. Ksawera Kozłowska, Szczebrzeszyn. Niniejszym zwracam się do Polskiego Czerwonego Krzyża prośbą o łaskawe przeprowadzenie wywiadu, czy brat mój Adam Buba, ur. 26.07.1884 r. w Szczebrzeszynie, a który wyjechał do Rosji kilka lat przed wojną [I wojną światową — przyp. L. W.] i pracował na Turkiestanie w charakterze nauczyciela w mieście Samarkand, żyje i gdzie obecnie się znajduje?

[...] Nadmieniam jeszcze, że podobno Komisarz Oświaty Bubnow ma być identyczną osobą z bratem moim A. Bubą, gdyż znajomi mieli go rozpoznać w jakimś dzienniku, gdzie była umieszczona fotografia z krótką biografią, z której wynikało, że Komisarz Oświaty Bubnow pochodzi ze Szczebrzeszyna? Proszę o łaskawe wiadomości w tej sprawie".

Czy Adam Buba ze Szczebrzeszyna jest istotnie komisarzem Bubnowem? Polska „Wielka Encyklopedia Powszechna" (PWN) zamieszcza pod hasłem „Bubnow" następującą notę: „Bubnow Andriej ur. 23.III.1883 zm. 12.I.1940, radz. działacz polit. Jako członek partii bolszewickiej (od 1903 roku) prowadził działalność nielegalną w różnych miastach rosyjskich; kilkakrotnie więziony przez władze carskie; podczas rewolucji październikowej był członkiem Biura Politycznego KC partii i sztabu kierującego powstaniem zbrojnym. 1918 wchodził w skład rządu Ukrainy i KC KP(b)U, 1925 był sekretarzem KC WKP(b), 1924—29 stał na czele Zarządu Politycznego Armii Czerwonej, następnie (1929—37) minister oświaty Rosyjskiej FSRR; [...] Stracony w okresie masowych represji, zrehabilitowany po XX Zjeździe KPZR w 1956".

Wielka Encyklopedia Radziecka z 1951 roku nie zawiera hasła: Bubnow. I nic dziwnego, skoro rozstrzelano go z woli Stalina. Nie zgadza się w powyższej informacji biograficznej imię i rok urodzenia (pomyłka o 1 rok), dziwne jest jednak to, że nie podano miejsca, w którym przyszedł na świat Andriej Bubnow (vel Adam Buba?). O niczym to jednak nie przesądza, bo w czasie rewolucji i wojny domowej z metrykami działy się różne dziwne historie. Pani Kozłowska mogła pomylić komisarza oświaty z ministrem republikańskim; w tamtych czasach ludzie nie orientowali się zbyt dokładnie w sytemie politycznym ZSRR. Intrygujące są sugestie znajomych pani Ksawery, którzy mieli rozpoznać jej brata na zdjęciu prasowym. Być może Bubnowowi z jakichś powodów zależało na ukryciu polskiego pochodzenia? A może to dwie różne osoby? Zagadkę: „Bubnow vel Buba?" pozostawiam do wyjaśnienia historykom, może także naszym Czytelnikom...

INFORMATOR KULTURALNY

TEATRY

W LUBLINIE

Teatr im. J. Osterwy:
13.04—15.04 godz. 19: „Białe małżeństwo" Tadeusza Różewicza; reż. Andrzej Rozhin.
13.04 godz. 17 **(scena „Reduta"):** „Worek Judaszów" — monodram w wykonaniu Joanny Morawskiej.
14.04—15.04 godz. 16 **(scena „Reduta"):** „Poobiednie igraszki" — Romy Mahieu; reż. Jacek Gierczak.
Teatr Lalki i Aktora:
13.04—14.04, 18.04—19.04: występy gościnne — „Don Żan" anonim czeski; reż. Tomasz Jaworski.
15.04—16.04 godz. 12: „Rumcajs" Ernesta Brylla; reż. Wojciech Kobrzyński.

Teatr Muzyczny:
15.04 godz. 15, 18 **(Dom Chemika w Puławach):** „Błękitny zamek" Lucy Montgomery.
17.04 godz. 18 **(Dom Kultury LSM** ul. Wallenroda 4a): „Kotka przemieniona w kobietę", „Salon pana Wzdęckiego" Offenbacha; reż. Lech Emfazy Stefański.

MUZYKA

Filharmonia — 14.04 godz. 19; 15.04 godz. 18: koncert symfoniczny. Orkiestrą PFL dyryguje Witold Krzemieński, Solista — Albert Zak (kanadyjski pianista). W programie — Koncert fortepianowy E-dur Maurycego Moszkowskiego (I prezentacja w Lublinie) oraz „Obrazki z wystawy" Modesta Musorgskiego.

WYSTAWY

W LUBLINIE

Muzeum na Zamku — wystawa archeologiczna pt. „Najważniejsze odkrycia archeologiczne w Polsce środkowo-wschodniej 1988"; — wystawa pt. „Portret w twórczości medalierskiej i numizmatycznej Ewy Olszewskiej-Borys".
Muzeum Wsi Lubelskiej (gościnnie w siedzibie „Desy" Krak. Przedm. 58) — wystawa przedmiotów z okresu II Rzeczypospolitej pt. „Coraz krótsza pamięć".
BWA (ul. Narutowicza 4):
— międzynarodowa poplenerowa wystawa rzeźby pt. „Dotykanie materii — Orońsko '89";
— wystawa fotografii Zygmunta Rytki pt. „Obiekty chwilowe".
Galeria Grodzka (ul. Grodzka 5a) — wystawa rzeźby, instalacji i dokumentacji artystów z Norwegii.
Galeria „Labirynt 2" (ul. Grodzka 3) — wystawa Andrzeja Dłużniewskiego pt. „Zaczepy".
Galeria Sztuki Sceny Plastycznej (KUL) — wystawa prac Aliny Szapocznikow.
Galeria „Pod Akacją" (ul. Grodzka 11) — 18.04 godz. 18.00, otwarcie wystawy rysunku satyrycznego Leszka Mędrali.
Galeria TPSP (ul. Grodzka 32/34) — wystawa malarstwa Stanisława Popka.
Galeria „Środek" (ul. Kiepury 5a) — wystawa rysunku Ireneusza Wolińskiego.
Galeria „Kont" (ul. Zana 11) — wystawa prac Jacka Grzesiaka.
Filharmonia (foyer) — wystawa malarstwa Piotra Bednarskiego.
Dom Kultury LSM (ul. Wallenroda 4a) — wystawa malarstwa olejnego Antoniego Massalskiego.

W BIAŁEJ PODLASKIEJ

Muzeum Okręgowe — pokonkursowa wystawa pt. „Sztuka ludowa południowego Podlasia '89".
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa malarstwa Marka Rypina i Mirosława Gromady (czynna do 17.04).

W MIĘDZYRZECU PODLASKIM
Galeria „Es" — wystawa fotografii Andrzeja Michałowskiego.

W CHEŁMIE
Muzeum Okręgowe — wystawa prac Fausty Kajki-Pyś i Mirka Pysia pt. „ZDA(E)RZENIE".

W ZAMOŚCIU
Galeria Sztuki Współczesnej — wystawa grafiki i ekslibrisu Romana Muchy (czynna do 20.04).
BWA — wystawa rzeźby i rysunku Bożenny Biskupskiej.

Z KSIĘGARNI

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

„Bajki Północy", Nasza Księgarnia, 800 zł. Baśnie czukockie, eskimoskie, jakuckie.

F. G. Bengtsson: „Rudy Orm", Nasza Księgarnia, 950 zł. Powieść przygodowa, której akcja toczy się na przełomie X i XI w., w okresie wypraw wikingów i w pierwszych latach wprowadzania chrześcijaństwa na tereny dzisiejszej Skandynawii.

POEZJA

Jarosław Iwaszkiewicz: „Poezje", wybór i wstęp Bohdana Zadury, Wyd. Lubelskie, 1200 zł.

PROZA

Eliza Orzeszkowa: „Nad Niemnem", Czytelnik, t. I,III 800 zł. Wydanie XVI.

Józef I. Kraszewski: „Latarnia czarnoksięska", Wyd. Literackie, t. I,II 1900 zł. Wydanie III.

Karol Schulz: „Kamień i cierpienie", PIW, 1600 zł. Wznowienie znanej książki czeskiego pisarza (zm. w 1943 r.), poświęconej życiu i twórczości genialnego mistrza włoskiego Odrodzenia — Michała Anioła.

Alexandre Dumas: „Kawaler d'Harmental", Czytelnik, 2200 zł. Pierwsze polskie wydanie powieści należącej do cyklu określanego mianem „płaszcza i szpady".

Robert Graves: „Klaudiusz i Messalina", PIW, 1250 zł. Wydanie szóste.

Tim O'Brien: „W pogoni za Cacciatem". Czytelnik, 600 zł. O fabule: młody żołnierz amerykańskiej piechoty zdecydował pewnego dnia, że ma już dosyć wojny (w Wietnamie) i wybrał się piechotą do Paryża... Autorem jest reporter dziennika „Washington Post" i żołnierz w wojnie wietnamskiej.

Jerzy Waldorff: „Fidrek", PIW, 600 zł. Autobiografia; we wstępie czytamy: „zamierzam tylko opowiedzieć historię pewnego chłopca, którego już dawno nie ma i pewnego starego człowieka, który jeszcze jest".

BIOGRAFIE

Juliusz Kydryński: „Gwiazda dwóch kontynentów", Nasza Księgarnia, 570 zł. Literacki, ale i bogato udokumentowany portret Heleny Modrzejewskiej.

Maria Kornatowska: „Fellini", Wyd. Artystyczne i Filmowe, 850 zł. Wyd. III.

ENCYKLOPEDIE

„ENCYKLOPEDIA, świat w przekroju '88". Wiedza Powszechna, 2700 zł.

(Powyższa relacja pochodzi z księgarni nr 1 „Domu Książki" w Lublinie, Krak. Przedm. 66). (z)

TV

Czwartek — 13 kwietnia

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Ośmiornica" — (5) serial sens. prod. wł.
10.25 Domator: To się może przydać
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Polskie zdroje: Muszyna — rep.
16.25 Dla młodych widzów: Kwant oraz „Edisonowie" — ser. prod. ang.
17.15 Teleexpress
17.30 Poligon — wojskowy mag. publ.
17.55 Jaki będziesz prezydencie (2) — progr publ. Henryka Jantosa
18.20 Sonda: Królestwo szkła
18.50 Dobranoc: Przygody rozbójnika Rumcajsa
19.00 10 minut
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 „Ośmiornica" (5) — serial sensacyjny prod. wł.
21.05 Pegaz — mag. aktualności kulturalnych
21.55 Ludzie Rodła — film dok.
22.15 Prezydenci
22.45 Dt — echa dnia
23.00 Jutro w programie
23.05 — 23.30 Język francuski (24)

Program II

16.55 Język francuski (24)
17.25 Powitanie
17.30 Do szkoły pod górkę
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
19.00 „Strachy na Lachy" — serial anim. prod. ang.
19.30 Kino „Puls"
20.00 Wojciech Fangor — rozmowy o malarstwie
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Kino studyjne Dwójki: „Zaskoczyła mnie noc" — film fab. prod. CSRS
23.55 — 24.00 Komentarz dnia

Piątek — 14 kwietnia

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Sto pierwszy" cz. 2 (ostatnia) filmu fab. prod. ZSRR
16.00 Program dnia i Dt — wiadomości
16.05 Mieszkać — wszechnica budowlana
16.25 Dla młodych widzów: Rambit — teleturniej
16.50 Dla dzieci: okienko Pankracego
17.15 Teleexpress
17.30 Gospodarka dla ludzi — program publ.
17.50 Telewizyjny informator wydawniczy
18.15 Telewizyjny film dok.: „Trakt pamięci"
18.50 Dobranoc: Sąsiedzi
19.00 10 minut
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 „Anna tysiąca dni" — film historyczny prod. ang.
22.25 Czas — mag. publ.
22.55 Jutro w programie
23.00 Dt — echa dnia
23.15 — 0.05 „Ludzie przeciw sobie": „II wojna światowa — 1939—45" (2) — serial dok. prod. franc.

Program II

16.55 Język francuski (53)
17.25 Program dnia
17.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
18.00 Program lokalny
18.30 Magazyn „102"
18.50 Polska Kronika Filmowa
19.00 „W labiryncie" (15) — serial fab. TVP
19.30 Dookoła świata: Z pocztylionem
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 „Jedno życie" — widowisko wg Anny Achmatowej z muzyką Andrzeja Zaryckiego
22.25 Komentarz dnia
22.30 — 1.00 Światowe muzyczne nagrody wideo '1989

Sobota — 15 kwietnia

Program I

8.00 Tydzień na dziełce
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Drops — magazyn dla dzieci i młodzieży, a w nim „Fragglesi" — film prod. ang.
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.25 Bellona — wojskowy mag. publ.
12.05 Telewizyjna prowincja
12.35 Telewizyjny Teatr Prozy: Walery Briusow — „Natalia"; reż. Krzysztof Lang; wyk.: Gabriela Kownacka, Piotr Machalica, Ewa Wencel, Tomasz Budyta, Marian Opania, Henryk Bista, Jerzy Kryszak, Agnieszka Kotulanka i inni
14.20 Do trzech razy sztuka — program z udziałem aktorów, dziennikarzy, sportowców
14.55 Komedie, komedie, komedie: „Wyjście awaryjne" — film prod. pol.
16.20 Losowanie Dużego Lotka
16.30 Trzy rundy — widowisko publ.
17.15 Teleexpress
17.30 Portrety: „Maria Kuncewiczowa, wspomnienia o ludziach, książkach i zdarzeniach" — film dok. prod. pol.
18.35 Butik — mag. Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Jeż Kleofas
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Gniazdo
19.30 Dt
20.05 „Przybywa jeździec" — western prod. USA
22.00 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
22.10 Telewizyjny przegląd sportowy oraz MŚ w hokeju na lodzie (Szwecja — Polska)
22.50 Dotykaj mnie — recital Małgorzaty Ostrowskiej i zespołu Lombard
23.25 Dt — wiadomości
23.30 Jutro w programie
23.35 —1.55 Klub filmowy: „FIST" — film fab. prod. USA

Program II

14.05 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.55 Powitanie
15.00 Zwierzęta świata: „Opowieść o szopie" — film dok. prod. USA
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.40 Meandry architektury: Krecia robota
16.00 Spotkanie z Maciejem Iłowieckim
16.10 „Tajniki przyrody" — cdc. 4 „Potencjał energetyczny" — film dok. prod. ang.
16.40 Globalna wioska
17.00 Legendy filmu: Charlie Chaplin
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Studio sport — MŚ w hokeju na lodzie (ZSRR — USA)
19.30 Alfa i omega: Niewidzialny ocean
20.00 Filharmonia Dwójki: „Eroica" Beethovena. Wielką Orkiestrą Symfoniczną PRiTV w Katowicach dyryguje Antoni Wit
21.00 Wokół górskich schronisk
21.30 Panorama dnia
22.00 „Śmiercionośny ładunek" — film fab. prod. USA
23.35 Komentarz dnia
23.40 — 0.10 „W labiryncie" (15) — serial TVP (powt.)

Niedziela — 16 kwietnia

Program I

8.55 Program dnia
9.00 Dla młodych widzów: Teleranek oraz „Szwajcarscy Robinsonowie" (23) — serial przygodowy prod. kanad.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Wspólnota Pacyfiku" cdc. 7 pt. „Napełnić dzbany czy zapalić świece?" — film dok. prod. ang.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Dawid Ojstrach — Wspomnienia o muzyku" — film dok. prod. ZSRR
13.45 Teatr Młodego Widza: John Ronald Reyel Tolkien — „Pogromca smoków" (3)
14.30 Morze — program publicystyczny
14.50 Marek Sierocki zaprasza
15.20 Powiększenie — fotomagazyn
15.40 „Katarzyna" (3) — serial hist. prod. franc.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.30 Antena
19.00 Wieczorynka: Smurfy
19.30 Dt
20.05 „Rzeka kłamstwa" — cdc. 7 (ostatni) serialu fab. TVP
21.30 Raport: Siedem dni
21.40 Sportowa niedziela
22.40 „Tak tu cicho" — reportaż Krzysztofa Juśkiewicza
23.05 Wyniki Totalizatora Sportowego
23.10 Dt
23.15 Jutro w programie

Program II

8.50 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
9.25 „Rzeka kłamstwa" — cdc. 7 (ostatni) serialu fab. TVP (dla niesłyszących)
10.50 Milionerzy — wojskowy progr. publ.
11.20 Lokalny koncert życzeń
11.45 Jutro poniedziałek — mag. spraw codziennych
12.15 Powitanie
12.20 Kino familijne: „Dom" — cdc. 5 i 6 pt. „Rozczarowanie" i „Gdyby mnie ktoś kochał" — serial obycz. prod. CSRS
13.10 100 pytań do...
13.50 „Polacy" — film dok.
14.40 Podróże w czasie i przestrzeni: „Powiązania" — cdc. 9 pt. „Odliczanie" — serial dok. prod. ang.
15.35 Robert Schumann — Koncert fortepianowy a-moll, op. 54. Retransmisja koncertu Orkiestry „Sinfonia Varsovia" pod dyr. Jerzego Maksymiuka. Solistką będzie Ewa Osińska — fortepian
16.10 Być tutaj — gawęda prof. Wiktora Zina
16.25 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko"
17.00 Studio sport: Inauguracja Wyścigów Konnych na Służewcu
17.30 Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Galeria Dwójki: Henryk Waniak (malarz)
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 „W mieście mądrym i tłustym" — reportaż Jerzego Ambroziewicza z Bolonii
21.30 Panorama dnia
21.45 „Wichry wojny" (5) — serial fab. prod. USA
22.35 — 22.40 Komentarz dnia

Poniedziałek — 17 kwietnia

Program I

9.45 Dt
9.55 Transmisja z otwarcia obrad XIV Kongresu Stronnictwa Demokratycznego
16.00 Program dnia, Dt — wiadomości
16.05 Vademecum konsumenta (1)
16.25 Luz — program nastolatków
17.15 Teleexpress
17.30 Vademecum konsumenta (2)
17.40 Echa stadionów
18.30 Laboratorium: „Laser, proszę"
18.50 Dobranoc: Guguel i listonosz
19.00 10 minut
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Teatr Telewizji: Tomasz Mann „Wielki Peeperkorn" wg. fragmentów „Czarodziejskiej góry". Obraz I — „Castrop", obraz II — „Abdykcja"
21.55 Mity i realia
22.00 Studio XIV Kongresu SD
22.30 Vademecum konsumenta (3)
22.45 Dt — echa dnia
23.05 Język niemiecki (23)

Program II

16.55 Język niemiecki (23)
17.25 Program dnia
17.30 Antena Dwójki na najbliższy tydzień
17.45 Ojczyzna — polszczyzna: O polszczyźnie kresowej
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.10 Tele-trans
19.30 Muzyka kościołów: Muzyka wyznania Mojżeszowego
20.30 „Uwaga, dokument" — „Soc...". Reż. Piotr Łazarkiewicz
21.45 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Rzeźby Andrzeja Renesa w Galerii Brama
22.00 Biografie: „Emil Zola, czyli ludzkie sumienie" (3) — serial prod. franc.
23.00 Komentarz dnia

Wtorek — 18 kwietnia

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 Dt — dodatek gospodarczy
9.40 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (3) — „Powrót" — serial obycz. prod. CSRS
10.40 Domator: Rady na życzenie
15.55 Program dnia. Dt — wiadomości
16.00 „Adwokat z Old Bailey" (6 — ostatni) serial krym. prod. ang.
16.55 Teleexpress
17.30 Studio sport: Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (CSRS — Polska)
18.50 Dobranoc: Dwa małe trzmiele
19.00 10 minut
19.10 Od A do Z — M jak mleko
19.30 Dt
20.05 „Synowie i córki Jakuba Szklarza" (3) — „Powrót" — serial obycz. prod. CSRS
21.00 Mity i realia
21.05 Konferencja prasowa rzecznika rządu
21.30 Po debiucie — wydanie specjalne
22.10 Studio XIV Kongresu SD
22.40 Dt — echa dnia
23.00 Język angielski (24)

Program II

16.55 Język angielski (24)
17.25 Program dnia
17.30 „Szokujące nowości. U progu sztuki współczesnej" (6) — serial dok. prod. ang.
18.00 Program lokalny
18.30 Za chwilę dalszy ciąg programu — magazyn rozrywkowy
19.30 Studio sport
20.00 „Epopeja Czerwonego Krzyża" (2) — „W czasie pokoju jak na wojnie" — serial prod. szwajcarsko-francuskiej
21.00 Powtórka z historii — Bolesław Bierut (2)
21.30 Panorama dnia
21.45 „Krew i honor" (1) — „Rok 1933" — serial obycz. prod. RFN
22.45 Komentarz dnia
22.50 Studio sport — Mistrzostwa świata w hokeju na lodzie (Kanada — USA)

Środa — 19 kwietnia

Program I

8.35 Domator
8.50 Domowe przedszkole
9.15 Dt — wiadomości
9.25 „Gwiazdooki" — film fab. prod. węgier.
10.55 Domator: Przyjemne z pożytecznym
15.50 Program dnia. Dt — wiadomości
15.55 Losowanie Express i Super Lotka
16.05 Studio sport — Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (ZSRR) — Polska)
17.20 Teleexpress
17.35 Spojrzenie
18.05 Telewizyjny informator wydawniczy
18.20 Dawniej niż wczoraj — Archiwum XX w.
18.50 Dobranoc: Plastusiowy pamiętnik
19.00 10 minut
19.10 Gra o milion
19.30 Dt
20.00 Raport
20.25 Studio sport — Półfinał Pucharu Europy w piłce nożnej (AC Milan — Real Madryt)
22.15 Mity i realia
22.20 Studio XIV Kongresu SD
22.50 Dt — echa dnia
23.10 Język rosyjski (25)

Program II

16.55 Język rosyjski (25)
17.25 Program dnia
17.30 ABC — teleturniej
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Ze wszystkich stron — magazyn reporterów Programu II
19.00 „Polacy" — „Pasja według Jerzego Kurczewskiego" — film dok. Marka Nowakowskiego
19.30 Muzyczne wizyty — Christos Savvopoulos (gitara)
20.00 Zatrzymane w kadrze — „Po bitwie"
20.20 „07 zgłoś się" (16) — „Ślad rękawiczki" — serial krym. TVP
21.30 Panorama dnia
21.45 Telewizja nocą
22.30 Studio sport — Mistrzostwa Świata w hokeju na lodzie (USA — CSRS)
23.10 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wlazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.

ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.

WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.

DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.

Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.

Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.

Nr indeksu: 37409. Zam. 501. 31.03.89. B-4.

NAUCZYCIELE W „WIDEŁKACH"

Zbigniew Dzięciołek

PODWYŻKI płac w szkolnictwie zawsze budziły rozmaite emocje. Jak każe tradycja, hucznie i z pompą fetowano w mass mediach każdy grosz dorzucony do chudej pensyjki nauczycieli. Jednak ostatnie regulacje zarobków w oświacie wprawiły w zdumienie nawet najbardziej zagorzałych czytelników literatury science fiction. Takiej plątaniny cyfr i kombinacji liczbowych nie wymyśliłby nawet nestor polskich futurologów — Stanisław Lem.

Otóż postanowiono skończyć definitywnie z dawaniem każdemu po równo. O ile sama koncepcja wydaje się słuszna, o tyle jej realizacja, mówiąc delikatnie, zakrawa na kpiny. Artyści ze sceny MEN-u (nie mylić z MChAT-em), których poparli kabareciarze z ZNP (konkurencja, panie Janku!), stworzyli coś na kształt „widełkowego" systemu płac. I tak na przykład nauczyciel posiadający wykształcenie wyższe magisterskie z przygotowaniem pedagogicznym, rozpoczynający pracę w szkole, może teoretycznie zarobić od 48 do 52 tysięcy złotych. Przy 10-letnim stażu jego apanaże, rosnące w zabójczym tempie, będą się kształtowały w granicach 54—64 tysiące złotych. Mając zaliczone 20 lat działalności „na polu" młodzieży, można otrzymać 59, a jak będzie się w dobrych stosunkach z dyrekcją, to i 69 tysięcy złotych. Będący u schyłku zawodowych trudów, czyli po 30 i więcej latach belfrowania, nauczyciel może otrzymać pensję o zawrotnej wysokości 64 tysięcy złotych, dążącą do 75.

Wynika więc z tego, że mając 20 lat pracy, można zarobić mniej niż mając 10, a przy 30 mniej niż przy latach 20, czyli tyle samo, ile przy 10, zakładając, że posiada się dobre notowania „na górze". Prawda jakie to proste?

Na tym nie kończą się jednak ministerialne niespodzianki. Żeby było ciekawiej, MEN oznajmiło wszem i wobec, iż dysponuje tylko połową sumy, którą powinni otrzymać nauczyciele, gdyby każdemu z nich przyznano najwyższą stawkę pieniężną przewidzianą w „widełkach". No! Tego to by i niecdżałowany minister Krasiński nie wymyślił, a ponoć ma na swym koncie kilka „udanych" eksperymentów cenowo-dochodowych. Widocznie resortowi mandaryni liczyli na niski iloraz inteligencji nauczycieli, wychodząc z założenia, że w tej „widełkowej" łamigłówce nikt się nie połapie. Nauczyciele, którym gruszki na wierzbie obiecywał każdy kolejny minister (w tym jedna pani), połapać to się połapali, tylko zrozumieć nie mogą. Ja również.

Dla mnie bowiem realna podwyżka płac następuje wtedy, gdy na rynku utrzymują się stałe ceny, a złotówka ma zagwarantowaną stabilność. W obecnej sytuacji, przy dzikim wyścigu cen i galopującej inflacji, jest to co najwyżej dodatek drożyźniany lub, jak kto woli, rewaloryzacja. A zatem jak można ją różnicować? Na zasadzie przynależności partyjnej? Związkowej? A może kościelnej?

Do głupoty hasającej po gabinetach ministerstwa zdążyłem się już przyzwyczaić. Nie przewidziałem jednak, że stanie się lżejsza od powietrza — jak mawiał kiedyś pewien doktor. O gołębicy nie wspomnę, bo to sympatyczny i rozumny ptak, a jako taki z głupotą nie ma nic wspólnego.

Czy są zatem, w obecnej sytuacji, szanse na zmianę istniejącego stanu rzeczy? Raczej nie. Chyba żeby... tak po staropolsku, wzorem Dobrzyńskich, jakiś mały zajazd na ministerstwo zorganizować (o ZNP też nie wadziłoby zahaczyć), Batorówki pewnie by się jeszcze w grodzie Kraka znalazły, a i sztuka fechtunku, z której niegdyś słynęli Łęczycanie, nie zaginęła do reszty w narodzie. Obcięłoby się komu trzeba uszy, skróciło wąsy, podgoliło czupryny i zaraz byłby inny porządek. A tak?

Chodzą słuchy, że od września planowana jest kolejna „podwyżka". Ciekaw jestem, kto będzie tym razem lepszy: pan Janek czy ministerstwo? Osobiście stawiam na MEN.

Kurtyna w górę! Farsa trwa.

ROZWAŻANIA O MUZYCE

POWAŻNA CZY NIEPOWAŻNA?

W AUDYCJACH radiowych, telewizyjnych czy też w literaturze popularyzującej muzykę często można spotkać terminy: „muzyka poważna", „muzyka rozrywkowa". Czy taki podział jest słuszny i precyzyjny? Posłużmy się przykładem: jako „muzykę poważną" określa się tryskające życiem, lekkie i żartobliwe Divertimenta i Serenady (np. Eine Kleine Nachtmusik) W. A. Mozarta, a każe uważać za „muzykę rozrywkową" smętne i nudne zawodzenia jakiejś piosenkarki czy zespołu. Już ten jeden przykład odsłania nam nieadekwatność używanych sformułowań.

O ile dosyć trafnie można wskazać obszar muzyki rozrywkowej, o tyle określenie „muzyka poważna" wydaje się być mało precyzyjne. Pod tym szyldem umieszcza się zwykle zbiór utworów powstałych w minionych epokach, które to utwory oparły się próbie czasu i są stale wykonywane na estradach filharmonii, nagrywane na płyty i, o ironio, niekiedy opracowywane na zespoły rozrywkowe. Co gorsza, określenie to stoi zwykle (o wiele częściej, niż można przypuszczać!) w jawnej sprzeczności z charakterem muzyki. Być może dlatego wielu redaktorów (np. Jan Weber) używa bardzo trafnego zwrotu MUZYKA KLASYCZNA.

Nie sądzę, aby powyższe rozważania mogły zmienić czyjkolwiek gust muzyczny (o nim, jak wiadomo, nie dyskutuje się). Wierzę jednak, że pozwolą one lepiej zrozumieć i właściwie odnosić się do zjawisk mieszczących się pod pojęciem MUZYKA.

Mariusz Dubaj

CZYTAJĄ NAS NAWET W PRADZE...

Fot. Lucjan Demidowski

KTO JEST KIM W REGIONIE

CABAN Ireneusz. Lat 51. Żonaty. Żona Lucyna. Dwie córki: Sylwia i Jolanta (obie plastyczki: Jolanta — V rok ASP, Sylwia — Liceum Sztuk Plastycznych). Absolwent Wydziału Historii UMCS. Działacz organizacji młodzieżowych: ZSP, ZMS, potem pracownik KW PZPR. Od 1 czerwca 1976 dyrektor Wydawnictwa Lubelskiego. Autor sześciu książek (m. in. współautor „ZWZ AK w Okręgu Lubelskim"). Najnowsza, siódma, w druku. Laureat nagród „Polityki" i ministra nauki, szkolnictwa wyższego i techniki.

Zasadniczą sprawą jest podchodzenie do życia bez zbędnych uniesień. To sposób wypracowany ostatnio, choć poparty profesjonalnym przekonaniem historyka. Czasami w surowej ocenie dziejów z żywych niegdyś wielkości pozostają jedynie iluzje.

DUDZIC Anna. Mężatka. Mąż Czesław, syn Ryszard. Popularna „pani Ania", zastępca kierownika kina „Kosmos".

Kiedy „Kosmos" powstawał, pani Anna chodziła na spacery z mężem i marzyła o pracy w tej placówce. „Wówczas kino było wielką atrakcją" — mówi. To właśnie pasja do filmu skłoniła ją do przyjęcia oferty zatrudnienia w „Kosmosie". W 1962 roku rozpoczęła pracę jako kasjerka i pozostała w tym kinie do dziś.

Uważa, że dobre życie jest pochodną spokoju i zdrowia. Wszystko bierze za podstawę właśnie te dwie fundamentalne wartości.

GROCHOWSKI Władysław. Lat 59. Żonaty. Żona Zofia. Troje dzieci: Konrad, Iwona, Artur. Absolwent Wydziału Humanistycznego KUL (lata 50.) i Wydziału Prawa UMCS (lata 70.). W 1951 roku, jeszcze jako student, podjął pracę w PKO na stanowisku młodszego referenta. Od 38 lat w branży, od kilkunastu — na kierowniczych stanowiskach. Od 1 XI 1987 r. dyrektor Wojewódzkiego Oddziału PKO. Człowiek, który jako pierwszy w Lublinie zaczął legalnie handlować dolarami.

Uważa, że w życiu należy przede wszystkim wiedzieć, czego się chce. W każdej sytuacji trzeba „być człowiekiem". Z tej perspektywy ocenia ludzi i sam chciałby być przez nich oceniany. Mówi się, że tam, gdzie w grę wchodzi pieniądz, kończy się miłość. A jednak również w sprawach finansów należy działać w obszarze ludzkich odruchów. To, co się robi, musi wynikać z przekonania, a nie z nakazu.

PIENIĄŻEK Antoni. Lat 49. Żonaty. Żona Zofia. Dwie córki: Agnieszka i Magda. Absolwent Wydziału Prawa UMCS. W czasie studiów działacz ZSP. Przewodniczący Rady Okręgowej w latach 1965—67. Potem asystent w Katedrze Teorii Państwa i Prawa u profesora Seidlera. Docent doktor habilitowany. Przewodniczący Wojewódzkiej Rady Narodowej w Lublinie.

Uważa, że to dobrze, iż nie ma jednego sposobu na życie. Stara się obdarzać ludzi sympatią i życzliwością, świadczyć im pomoc, na ile to jest możliwe. Ma świadomość, że ludzie dzielą się na „kwaśnych" i „słodkich". Takie też bywają ich reakcje. Nie może to jednak wpłynąć na zasadę otwartości wobec nich. Lubi polować, ale egzystencja to także rezygnacja z przyjemności na rzecz konieczności. Chwile przygnębienia przeżywa wtedy, gdy słuszne racje społeczne hamowane są przez racje nadrzędne (brak środków, efekty niegdysiejszych błędów).

W numerze 14. opublikujemy:

● OKRĄGŁY STÓŁ I CO DALEJ? ● INFORMACJE WAŻNE DLA WYJEŻDŻAJĄCYCH DO USA! ● PRAWDA O PARTYZANCKIEJ SŁAWIE I CHWALE ● DZIEŃ SOKOŁA ● NA UKRAIŃCÓW I POLAKÓW SPOJRZENIE ZE LWOWA ● SĄD NAD MIKOŁAJCZYKIEM ● PROTEST W SPRAWIE ARTYKUŁU O PANORAMIE KOCKIEJ ● BRUDNY LUBLIN ● PROGRAM TVP